

Strugaccy A i B - Bajka o trojce

Ciała historia zaczęła się od tego, że w samym środku roboczego dnia, gdy pocilem się nad kolejnym pismem skierowanym do kicieżgradskich zakładów magotechniki, pojawił się u mnie w gabinecie mój serdeczny przyjaciel Edik Amperian. Jako człowiek dobrze wychowany i wykształcony, nie padł bezceremonialnie na kulawe krzesło dla interesantów, nie wleciał niespodzianie przez ścianę ani nie wdarł się otwartą furtką, jak głaz wyrzucony z katapulty. W większości wypadków moi koledzy ciągle się gdzieś spieszyli, z czymś nie nadążali, gdzieś się spóźniali i dlatego pojawiali się, włamywali i wdzierali z absolutną swobodą, lekceważąc normalne środki komunikacji. Edik do takich nie należał. Skromnie pojawił się w drzwiach. Zapukał nawet uprzednio, ale nie miałem czasu odpowiedzieć.

– Czy w dalszym ciągu jest ci potrzebna Czarna Skrzynka? – zapytał po przywitaniu.

– Skrzynka? – wymamrotałem, nie mając sił oderwać się od pisma. – Jakby tu powiedzieć... Jaka właściwie skrzynka?

– Wydaje mi się, że przeszkadzam – powiedział delikatnie uprzejmy Edik. – Przepraszam cię, ale przysłał mnie szef...

Rzecz w tym, że za godzinę odbędzie się pierwszy start windy poza obręb trzynastego piętra. Proponują nam skorzystać z okazji.

Mózg miałem jeszcze zasnuty trującymi wyziewami urzędowej frazeologii i dlatego odrzekłem tylko tępo:

– Jaka winda ma być dostarczona pod nasz adres jeszcze trzynastego piętra bieżącego roku...?

Po chwili jednakże pierwsze dziesiątki bitów Edikowej informacji dosięgły moich szarych komórek. Odłożyłem długopis i poprosiłem o powtórzenie. Edik cierpliwie powtórzył.

– To pewne? – spytałem zamierającym szeptem.

– W zupełności – potwierdził Edik.

– Idziemy – powiedziałem, wyciągając z biurka teczkę z kopiami swoich zapotrzebowań.

– Gdzie?

– Jak to gdzie? Na siedemdziesiąte szóste.

– Nie, zaraz – powiedział Edik, kręcąc głową. – Najpierw trzeba zajść do szefa.

– A po co?

– Prosił o to. Z tym siedemdziesiątym szóstym piętrem jest jakaś historia. Szef ma coś dla nas na drodze.

Wzruszyłem ramionami, lecz nie protestowałem. Założyłem marynarkę, wyjąłem z teczki zapotrzebowanie na Czarną Skrzynkę i ruszyliśmy do szefa, Fiodora Simeonowicza Kiwrina, zarządzającego oddziałem Szczęścia Linearnego.

Na pierwszym piętrze, przed zakratowanym szybem windy panowało nieopisane ożywienie. Drzwi szybu były otwarte, drzwi kabiny także, świeciła masa lamp, błyszczały lustra, mętnie połyskiwały lakierowane powierzchnie. Pod starym, wyblakłym już transparentem „Dla uczczenia święta wykonamy windę” tłoczyli się chcący sobie pojeździć. Wszyscy z powagą słuchali zastępcy dyrektora działu administracyjno-gospodarczego, Modesta Matwiejewicza Kamieniojada, przemawiającego przed szeregiem mechaników sołowieckiego Kotłonadzoru.

– Należy z tym wreszcie skończyć – wyjaśniał Modest Matwiejewicz. – To jest winda, a nie jakieś tam spektroskop-

-mikroskopy. Winda jest potężnym środkiem postępu – to raz. Także środkiem transportu. Winda powinna być jak wywrotka: podjedzie, wyrzuci i z powrotem. To po pierwsze. Administracji dobrze wiadomo, że wielu towarzyszy uczonych, w tej liczbie i pewni akademicy, nie potrafi właściwie eksploatować windy. Z tym walczymy i to likwidujemy. Egzamin na prawo prowadzenia windy, nie patrząc na zasługi... ustanowienie tytułu przodownika windowego... i tak dalej. To po drugie. Ale monterzy ze swej strony powinni zabezpieczyć regularność kursowania. Nie ma się co powoływać na obiektywne trudności. Wnosimy hasło: winda dla wszystkich. Niezależnie od osoby. Winda powinna wytrzymać wejście do kabiny nawet najbardziej niezwykłego akademika.

Przedarliśmy się przez tłum; ruszyliśmy dalej. Uroczysta oprawa tego zaimprovizowanego mitingu wywarła na mnie ogromne wrażenie. Czuło się, że dziś winda zacznie nareszcie działać, być może będzie działać nawet przez długie dni. To wspaniałe. Winda była zawsze piętą achillesową Instytutu i Modesta Matwiejewicza. Właściwie niczym wyjątkowym nasza winda się nie wyróżniała. Winda jak winda, miała swoje wady i zalety. Jak wypada uczciwej windzie, lubiła stawać między piętrami, wiecznie była zajęta, przepalała wkręcone żarówki, wymagała bezbłędnego obchodzenia się z drzwiami, a przy wchodzeniu do kabiny nikt nie mógł z pewnością stwierdzić, gdzie i kiedy uda mu się ją opuścić. Miała jednak nasza winda pewną osobliwość. Nie mogła sobie poradzić z wjechaniem wyżej niż na dwunaste piętro. To znaczy, historia Instytutu znała wypadki, kiedy pewni specjaliści potrafili okiełznać krnąbrną maszynę i gdy dali jej odpowiedniego kopniaka, wznosili się na zupełnie fantastyczne wysokości. Ale dla szarego człowieka cały niekończący się ogrom Instytutu powyżej dwunastego piętra pozostawał niezmiennie białą plamą. O tych prawie całkowicie odciętych od świata terytoriach krążyły najróżniejsze, w większości wypadków sprzeczne słuchy. Mówiono na przykład, że sto dwudzieste czwarte piętro posiada wyjście

w przestrzeń o innych właściwościach fizycznych; na dwieście trzydziestym zamieszkuje jakoby nieznanne plemię alchemików – ideowych następców słynnego „Związku Dziewięciu”, utworzonego przez wykształconego indyjskiego króla Aszkoju; na tysiąc siedemnastym po dziś dzień żyją sobie spokojnie i szczęśliwie nad brzegiem Błękitnego Morza staruszek, starszka i złoty narybek Złotej Rybki.

Mnie osobiście, tak jak i Edika, interesowało przede wszystkim piętro siedemdziesiąte szóste. Tam, zgodnie z informacjami z inwentarza, ukryta była Idealna Czarna Skrzynka, niezbędna dla ośrodka obliczeniowego, przebywała tam również pewna mówiąca pluskwa, na której ogromnie zależało oddziałowi Szczęścia Linearnego. Z tego co było nam wiadome, na siedemdziesiątym szóstym znajdował się skład deficytowych zjawisk przyrodniczych i społecznych. Wielu naszych współpracowników pragnęło gorąco się tam znaleźć, aby zanurzyć w tym skarbcu swoje chciwe ręce. Fiodor Simeonowicz na przykład marzył o rozprzestrzeniających się tam hektarach gruntu pod optymizm. Kolegom z wydziału Meteorologii Socjalnej niezbędny był choć jeden Mroźny Szewc – a miało ich tam być trzech i wszyscy jak jeden mąż z efektywną temperaturą bliską absolutnemu zeru. Taki Christobal Hozewicz Junta, zarządzający oddziałem Sensu Życia, doktor najbardziej niespotykanych nauk, wprost rwał się na siedemdziesiąte szóste po unikalny egzemplarz tak zwanego Bezskrzydłego Marzenia Przyziemnego – by je wypchać. Sześć razy w ciągu ostatniego ćwierćwiecza próbował przebić się na siedemdziesiąte szóste, wykorzystując swoje wybitne zdolności do pionowej transgresji. Nawet jemu się nie powiodło: zgodnie ze sprytnym zamysłem starożytnych architektów, wszystkie piętra powyżej dwunaste-go były całkowicie zablokowane dla wszystkich typów transgresji. Tak więc udany start windy oznaczał nowy etap w życiu naszego kolektywu.

Zatrzymaliśmy się przed gabinetem Fiodora Simeonowicza, a przystojny i czyściutki staruszek, skrzat Tichon, uprzejmie otworzył przed nami drzwi. Weszliśmy.

Fiodor Simeonowicz nie był sam. Za jego wielkim biurkiem siedział niedbale rozwalony w wygodnym fotelu oliwkowy Christobal Hozewicz i pociągał wonne hawańskie cygaro. Sam Fiodor Simeonowicz, z kciukami założonymi za jaskrawe szelki, spacerował po gabinecie ze spuszczoną głową, starając się stąpać po samym brzeżku szemachańskiego dywanu. Na stole cieszyły oko rajskie płody w kryształowych wazach: wielkie rumiane jabłka Wiadomości Złego oraz zupełnie na oko niejadalne, a jednak zawsze robaczywe, jabłka Wiadomości Dobrego. Porcelanowe naczynie przy łokciu Christobala Hozewicza pełne było ogryzków i niedopałków.

Na nasz widok, Fiodor Simeonowicz zatrzymał się.

– A oto i oni s-sami – rzekł, bez typowego dla siebie uśmiechu. – P-proszę, siadajcie. Sz-szkoda czasu. K-Kamieniojad to gaduła, ale chyba sz-szybko skończy. Ch-christo, przedstaw sytuację, bo-bo mnie to nigdy nie wychodzi.

Siedliśmy. Christobal Hozewicz, przymrużywszy od dymu prawe oko, obejrzał nas taksująco.

– Pozwól, że zacznę – powiedział do Fiodora Simeonowicza. – Młodzi ludzie, okoliczności sprawy są takie, że jako pierwsi na siedemdziesiąte szóste piętro powinniśmy się udać my, ludzie wykształceni i doświadczeni. Niestety, wedle poglądów administracji, jesteśmy zbyt starzy i zbyt szanowni, by uczestniczyć w pierwszym eksperymentalnym starcie. Dlatego wysyłamy was i na wstępie ostrzegam, że to nie ot taki sobie spacerek, ale rozpoznanie. Być może rozpoznanie bojem. Wymaga się od was wytrzymałości, odwagi i maksymalnej spostrzegawczości. Osobiście nie widzę w was wspomnianych cech, jednakże gotów jestem ustąpić wobec rekomendacji Fiodora Simeonowicza. Na wszelki wypadek powinniście wiedzieć, że przyjdzie wam działać na terytorium wroga – wroga nieubłaganego, okrutnego, nie cofającego się przed niczym.

Po takim wystąpieniu mrówki zaczęły mi biegać po skórze. Christobal Hozewicz zaczął wyjaśniać, jak wygląda sprawa.

A sprawa wyglądała tak. Na siedemdziesiątym szóstym piętrze leży, jak się okazuje, starożytne miasto Tmuskorpion,

zdobyte w swoim czasie przez Mściwego Olega. Od niepa-
miętnych czasów Tmuskorpion stanowił centrum niezwykłych
zjawisk i był areną niezwykłych wydarzeń. Dlaczego tak się
działo, nie wiadomo, ale wszystko to, co na kolejnych eta-
pach naukowego, technicznego i społecznego rozwoju nie
mogło być na drodze rozumowej dowiedzione, przechodziło
właśnie tam, by oczekiwać lepszych czasów. Jeszcze za Pio-
tra Wielkiego, równocześnie z utworzeniem w Sankt-Peters-
burgu wspaniałej Kunstkamery, ówczesna sołowiecka admi-
nistracja w osobie bombardier-porucznika Ptacha i jego rotę
grenadierów utworzyła w Tmuskorpionie na jej wzór „Jego
Imperatorskiej Wysokości Przecudownych i Przedziwnych
Kunsztów Kamerę z więzieniem i dwiema łaźniami”. W tym
czasie siedemdziesiąte szóste piętro było drugim, o windach
nikt jeszcze nie słyszał i w J. I. W. Kunsztów Kamerze ła-
twiej było się znaleźć niż w łaźni. W późniejszym czasie, wraz
z powszechnym rozwojem „Gmachu Nauki”, dostęp tam sta-
wał się coraz trudniejszy, a od chwili pojawienia się windy
stał się prawie niemożliwy. Jednocześnie „Kunsztów Kame-
ra” wciąż rosła, wzbogacała się o nowe ekspozyty i za cza-
sów Katarzyny Drugiej przekształciła się w „Zoologiczne i In-
nych Cudów Natury Imperatorskie Muzeum”, z kolei za
Aleksandra Drugiego – w „Rosyjski Imperatorski Rezerwat
Magicznych, Spirytystycznych i Okultystycznych Fenome-
nów”, a na koniec w Państwową Kolonię Niewyjaśnionych
Zjawisk przy INBADCZAM-ie Akademii Nauk. Katastrofalne
skutki odkrycia windy utrudniały wykorzystanie tego
skarbcza dla celów naukowych. Urzędowa korespondencja
z tamtejszą administracją była wyjątkowo utrudniona i z oczy-
wistych powodów ogromnie przewlekła; spuszczone z góry
liny z korespondencją pękały pod własnym ciężarem, gołębie
pocztowe odmawiały latania na taką wysokość, łączność ra-
diowa ze względu na zacofanie tmuskorpioniejskiej techniki była
niemożliwa, a zastosowanie urządzeń latających prowadziło
tylko do utraty deficytowego helu... Zresztą, wszystko to już
tylko historia.

Na przykład, dwadzieścia lat temu zwariona winda wyrzuciła na siedemdziesiątym szóstym piętrze inspekcyjną komisję Sołowieckiego Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego, która skromnie wybrała się obejrzeć na czwartym piętrze zatłoczone przewody kanalizacyjne w laboratoriach profesora Wybiegały. Nigdy nie wyjaśniono, co się faktycznie zdarzyło. Współpracownik Wybiegały, który oczekiwał komisji na klatce schodowej, opowiadał, że kabina windy wzniosła się z obłąkańczym rykiem, za szklanymi drzwiami mignęły wykrzywione twarze i straszliwy obraz zniknął. Dokładnie po godzinie zauważono kabinę na dwunastym piętrze: była spieniona, zdyszana i drżała jeszcze ze wzburzenia. Komisji w kabinie nie znaleziono, lecz na ścianie biurowym klejem przyklejona była notatka zapisana na odwrocie „Sprawozdania o Niezadowolającym Staniu”. Figurowało tam: „Wychodzę na inspekcję. Widzę dziwny kamień. Towarzyszowi Farfurkisowi udziela się nagany za ucieczkę w krzaki. Przewodniczący komisji: Ł. Winiukow”.

Długi czas nie było wiadomo, gdzie faktycznie Ł. Winiukow ze swymi podwładnymi opuścił kabinę. Przychodziła milicja i było wiele nieprzyjemności. Po miesiącu na dachu kabiny zauważono dwie zapieczętowane paczki, adresowane do kierownika Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunalnego. Pierwsza zawierała pisane na bibułce papierosowej zarządzenia, w których zawiadamiano o naganach udzielonych towarzyszowi Farfurkisowi oraz towarzyszowi Chlebowwodowowi – w większości wypadków za przejawianie indywidualizmu i nie całkiem jasnego, „opieszalstwa”. W drugiej paczce znajdowały się materiały z inspekcji stanu urządzeń kanalizacyjnych Tmuskorpionu (stan okazał się niezadowolający) i podanie do księgowości o wyliczenie delegacji wysokogórskich dodatków. Od tego czasu korespondencja z góry przychodziła w miarę regularnie. Z początku były to protokoły z posiedzeń komisji MPK, następnie Specjalnej Komisji dla Zbadania Sytuacji, potem nagle Tymczasowej Trójki. Po rozpatrzeniu działalności ob. Zubowa, komendanta Kolonii Niewyjaśnionych Zjawisk,

na trzech pod rząd raportach „o przestępczym opieszaństwie”, Ł. Winiukow podpisał się jako przewodniczący Trójki dla Racjonalizacji Utylizacji i Niewyjaśnionych Zjawisk (TRIUNZ). Z góry przestały przychodzić protokoły, a zaczęły pojawiać się okólniki i wytyczne. Papiery były równie straszne w formie, jak i w treści. Niezaprzeczalnie świadczyły one o tym, że była komisja MPK uzurpowała sobie władzę w Tmuskorpionie, i nie była w stanie poradzić sobie rozumnie z tą władzą.

– Główne niebezpieczeństwo polega na tym – miarowym tonem kontynuował Christobal Hozewicz, pociągając zgasłe cygareto – że w posiadaniu tych oszustów znajduje się znana wszystkim Wielka Okrągła Pieczęć. Mam nadzieję, że rozumiecie, co to oznacza...

– Rozumiem – powiedział cicho Edik. – Siekierą nie wyrąbiesz... – Jego pogodna zazwyczaj twarz zachmurzyła się. – Cóż, może wykorzystamy remoralizator?

Christobal Hozewicz wymienił spojrzenie z Fiodorem Simeonowiczem.

– Można spróbować – powiedział, wzruszając ramionami. – Obawiam się jednak, że proces posunął się zbyt daleko.

– N-nie – no dlaczego – zaproponował Fiodor Simeonowicz. – Wykorzystajcie, Ediku. Nic tam jednak automaty... N-niestety, mają jeszcze ze sobą Wybiegałkę...

– Jak to? – zdziwiliśmy się.

Okazało się, że trzy miesiące temu przysłano z góry zapotrzebowanie na naukowego konsultanta z propozycją fantastycznego wynagrodzenia. Nikt w tę propozycję nie wierzył, a już szczególnie profesor Wybiegałko, który w tym czasie kończył wielką pracę nad wytworzeniem drogą samokształcenia robaka samonadziewającego się na haczyk. O swoim niedowierzaniu profesor Wybiegałko zawiadomił wszystkich na posiedzeniu naukowym i tego samego wieczora uciekł, porzuciwszy wszystko. Wielu widziało, jak profesor z trzymaną w zębach teczką gramolił się po wewnętrznej stronie szybu, wychodząc na piętrach, by podreperować siły w bufecie. A po tygodniu został spuszczonej okólnik, zawiadamiający

o powołaniu profesora Wybiegały A.A. na stanowisko naukowego konsultanta przy TRIUNZ-ie, z wymienieniem wysokości zapowiedzianej pensji, wraz z dodatkami za znajomość języków obcych.

– Dziękuję – powiedział dobrze wychowany Edik. – To cenne informacje. W takim razie pójdziemy.

– Idźcie, idźcie g-gołąbki – rzekł ze wzruszeniem Fiodor Simeonowicz i spojrzął w magiczny kryształ. – Tak, już czas. Kamieniojad j-już kończy. I u-uważajcie na siebie... N-nieprzebyty to teren i s-straszny...

– I bez emocji! – dobitnie przypomniał Christobal Hozewicz. – Nie chcą oddać naszych pcheł i skrzynek – bez łaski. Jesteście wywiadowcami. Ustanowi się z wami jednostronną łączność telepatyczną. Będziemy obserwować każdy wasz krok. Zbierajcie dane – oto wasze zasadnicze zadanie.

– Rozumiemy – rzekł Edik.

Christobal Hozewicz obejrzał nas jeszcze raz taksująco.

– Może by im tak Modesta dodać – bąknął. – Klin klinem... – Z rezygnacją machnął ręką. – Dobra, idźcie. Buena-ventura.

Wysliśmy i Edik powiedział, że musimy teraz wpaść do jego laboratorium, by wziąć remoralizator. Ostatnimi czasy Edik pasjonował się praktyczną remoralizacją. W laboratorium, w dziewięciu szafach, znajdował się aparat, którego działanie polegało na tym, że wydobywając w naświetlanym na zewnątrz odruchy prymitywne przekształcał je w rozumne, dobre i wieczne. Przy pomocy tego aparatu udało się Edikowi wyleczyć pewnego filatelistę z tyfusu, przywrócić na łono rodziny dwóch namiętnych kibiców hokeja i wprowadzić w ramy społeczności zatwardziałego oszczercę. Obecnie, na razie bez rezultatu, leczył z chamstwa naszego serdecznego przyjaciela Witka Korniejewa.

– Jak my to wszystko udźwigniemy – powiedziałem, patrząc z przerażeniem na szafy.

Edik uspokoił mnie jednak. Okazało się, że był już prawie wykonany przenośny remoralizator, o mniejszej mocy,

lecz, zdaniem Edika, zupełnie wystarczającej na nasze potrzeby.

– Tam go polutuję i złożę – powiedział, chowając do kieszeni płaskie, metalowe pudełko.

Kiedy wróciliśmy na klatkę schodową, Modest Matwiejewicz kończył właśnie przemówienie.

– ... To także zlikwidujemy – zapewniał nieco ochryłym głosem. – Dlatego że, po pierwsze, winda oszczędza nasze zdrowie. I oszczędza czas roboczy. Winda kosztuje pieniądze i kategorycznie palić w niej nie pozwolimy... Kto tu na ochotnika? – powiedział, niespodziewanie obróciwszy się w kierunku tłumu.

Odezwało się kilka głosów, ale Modest Matwiejewicz odrzucił te kandydatury.

– Młodym by windami jeździć – oświadczył. – Nie tylko spektroskopy.

Milcząc precyzyjnie się do pierwszego rzędu.

– My na siedemdziesiąte szóste – cicho powiedział Edik.

Zapanowała pełna szacunku cisza. Modest Matwiejewicz obejrzał nas od stóp do głów z ogromnym powątpiewaniem.

– Słabiuteńcy – wymamrotał z zadumą. – Zieloni jeszcze... Palicie? – zapytał.

– Nie – odrzekł Edik.

– Czasami – powiedziałem.

Przez tłum przedarł się woźny Tichon i zaczął szeptać coś na ucho Modesta Matwiejewicza. Modest Matwiejewicz wydał usta i napuszył się.

– Jeszcze sprawdzimy – powiedział, po czym wyjął z kieszeni służbowy notes. – W jakiej kwestii udajecie się, Amperian? – zapytał z niezadowolaniem.

– Po Gadacza Pluskwę – odpowiedział Edik.

– A wy, Priwałow?

– Po Czarną Skrzynkę.

– Hmm... – Modest Matwiejewicz przekartkował notes. – Faktycznie... jest... ta-ak... Kolonia Niewyjaśnionych Zjawisk. Pokażcie zaświadczenia.

Pokazaliśmy.

– No cóż, jedźcie... Nie wy pierwsi, nie wy ostatni...

Modest Matwiejewicz zasalutował. Rozległy się dźwięki smutnej muzyki. Tłum zafalował. Wstąpiliśmy w drzwi kabiny. Byłem smutny, bałem się. Przypomniałem sobie, że nie pożegnałem się ze Stellą.

– Zadepczą ich tam – wyjaśnił Modest Matwiejewicz. – Szkoda... Równe chłopcy... Amperian nawet nie pali i nie pije...

Metalowe drzwi szybu zatrzasnęły się ze szczękiem. Nie patrząc na mnie, Edik nacisnął guzik siedemdziesiątego szóstego piętra. Drzwi kabiny zamknęły się automatycznie, zapalił się napis „Nie palić! Zapiąć pasy!” i ruszyliśmy w drogę.

Z początku kabina szła leniwie, ociężałym truchtem. Wyczuwało się, że nic jej się nie chce. Powoli spływały w dół znajome korytarze, zatroskane twarze przyjaciół, naprędce wykonane plakaty „Junacy” i „Nie zapomnimy o was!”. Na dwunastym piętrze po raz ostatni pomachano nam chusteczkami i kabina weszła w nieznane rejony. Pojawiały się i znikwały bezludne na oko pomieszczenia, wstrząsy windy były coraz rzadsze i coraz słabsze, kabina zasypiała w ruchu i na szesnastym piętrze zatrzymała się. Ledwie zdążyliśmy zamienić kilka słów z jakimiś uzbrojonymi ludźmi, którzy okazali się pracownikami oddziału Zaczarowanych Skarbów, gdy nagle kabina stanęła dęba i z żelaznym rżeniem podrywała się dzikim galopem wzwyż. Zamigotały żarówki, zaszczękały przekaźniki. Straszliwe przeciążenie zbiło nas z nóg. Aby utrzymać się na nogach przytrzymywaliśmy się nawzajem. Lustra odbijały nasze spocone z napięcia twarze i już przygotowaliśmy się na najgorsze, gdy nagle galop przeszedł w lekki kłus. Siła ciężkości wyraźnie spadła. Nabraliśmy otuchy. Stękając, winda przybiła do pięćdziesiątego siódmego piętra i zatrzymała się. Otworzyły się drzwi, wszedł korpulentny starszy człowiek z akordeonem, powiedział od niechcenia: „Ogólne dzień dobry!” i nacisnął guzik siedemdziesiątego trzeciego piętra. Gdy kabina ruszyła, oparł

się o ścianę, marzycielsko przymrużył oczy i zaczął cicho grać „Cegiełeczki”.

– Z dołu? – poinformował się leniwie, nie odwracając głowy.

– Z dołu – odpowiedzieliśmy.

– Kamieniojad jeszcze pracuje?

– Pracuje.

– Pozdrówcie go ode mnie – rzekł nieznajomy i więcej nie zwracał na nas uwagi.

Kabina wznosiła się bez pośpiechu, podrygując w takt „Cegiełeczek”, a my z zażenowania zaczęliśmy uczyć się wyrtej na miedzianej płycie „Instrukcji obsługi”. Dowiedzieliśmy się, że zabronione jest osiedlać się w kabinie fruwającym myszom, wampirom i skrzydlatym wiewiórkom; wychodzić przez ścianę w razie zatrzymania windy między piętrami; przewozić w kabinie substancji gorących i wybuchowych, a także naczyń z dzinami i wilkołakami bez ognioodpornych kagańców; korzystać z windy ubożętom i strzygom bez osób towarzyszących... Wszystkim bez wyjątku zabraniało się wyćzyniać swawole, zajmować się spaniem oraz wykonywać podskoki. Nie zdążyliśmy doczytać do końca. Kabina zatrzymała się, nieznajomy wysiadł i Edik znów nacisnął guzik siedemdziesiątego szóstego. Kabina wyrwała do góry tak gwałtownie, że pociemniało nam w oczach. Gdy odetchnęliśmy, kabina stała już nieruchomo, drzwi były otwarte. Byliśmy na siedemdziesiątym szóstym. Spojrzeliśmy po sobie i ruszyliśmy, wznosząc nad głowami nasze zaświadczenia niczym białe flagi parlamentariuszy. Nie wiem, czegośmy faktycznie oczekiwali. Czegoś złego.

Jednakże nic złego się nie zdarzyło. Znaleźliśmy się w okrągłej, pustej, bardzo zakurzonej sali z niskim, szarym sufitem. Na środku wznosił się wrośnięty w parkiet biały głaz, podobny do zapory przeciwczołgowej. Wokół głazu wałały się stare, pożółkłe kości. Pachniało myszami, panował ponury nastrój. Nagle drzwi szybu zatrzasnęły się ze szczękiem. Drgnęliśmy, spojrzeliśmy za siebie, lecz zdążyliśmy tylko

zobaczyć niknący dach spadającej kabiny. Złowieszczy huk przewalił się po sali i zamarł. Byliśmy w pułapce. Zapragnąłem koniecznie i natychmiast wracać na dół, ale wyraz zakłopotania na twarzy Edika dodał mi sił. Wysunąłem szczękę, założyłem ręce do tyłu i na sztywnych nogach, starając się zachować sceptyczny i niezależny wygląd, ruszyłem w kierunku głazu. Jak oczekiwałem, kamień okazał się czymś w rodzaju często spotykanego w bajkach drogowskazu. Wryty na nim napis głosił co następuje:

§1 na lewo pój
dziesz głowę stra
cisz §2 na prawo pój
dziesz nigdzie nie dojdiesz §3 pro
sto pój S W U C H

Ostatni wers połączyli – wyjaśnił Edik. – Aha, jest jeszcze jakiś napis ołówkiem... „Tutaj... konsultowaliśmy się ze społeczeństwem i wysunięto postulat, że iść należy... prosto. Podpis: Ł. Winiukow”.

Spojrzelśmy na wprost. Teraz, gdy nasze oczy przywykły do rozproszonego światła, wpadającego do sali nie wiadomo w jaki sposób, zobaczyliśmy drzwi. Było ich troje, przy czym drzwi prowadzące na prawo i na lewo były zabite deskami, a do drzwi na wprost prowadziła wydeptana w kurzu ścieżka omijająca kamień.

– Nie podoba mi się to – stwierdziłem z męską otwartością. – Kości jakież...

– Kości, według mnie, słoniowe – powiedział Edik. – Zresztą nieważne. Nie będziemy się cofać.

– Może mimo wszystko zrobimy notatkę i wrzucimy do szybu? – zaproponowałem. – Zginiemy przecież bez śladu.

– Sasza – powiedział Edik – nie zapominaj, że mamy łączność telepatyczną. Nie wypada. Otrząśnij się.

Otrząsałem się. Znów wysunąłem szczękę i ruszyłem do drzwi na wprost. Edik szedł obok mnie.

– Przekroczyliśmy Rubikon! – oznajmiłem i pchnąłem nogą drzwi.

Niestety, efekt przysł. Na drzwiach widniała trudna do zauważenia tabliczka „Ciągnąć do siebie” i przyszło nam przekraczać Rubikon po raz drugi. Tym razem już bez gestów, za to z poniżającym przewyciężaniem silnej sprężyny.

Tuż za drzwiami znajdował się zalany słonecznym światłem park. Ujrzeliśmy wysypane piaskiem alejki, przyszytych krzaki i ostrzeżenie „Nie chodzić po trawniku i nie jeść trawy”. Naprzeciw stała żeliwna ławka z odłamanym oparciem, a na ławce siedział dziwny człowiek w binoklach i czytał gazetę, ruszając długimi palcami bosych nóg. Na nasz widok zmieszał się nie wiadomo czemu, nie opuszczając gazety zdjął sprawnie nogą binokle, przetaił szkła o spodnie i znów założył na nos. Następnie odłożył gazetę i wstał. Potężnego wzrostu, okropnie zarosnięty, ubrany był w czysty, biały bezrękawnik oraz niebieskie płócienne spodnie na szelkach. Złoczone binokle ścisnęły jego szeroką kość nosową i nadawały mu jakby cudzoziemski wygląd. Było w nim coś z politycznej karykatury w centralnej gazecie. Poruszył wielkimi ostrymi uszami i zrobił kilka kroków na spotkanie.

– Witam w Tmuskorpionie i pozwólcie, że się przedstawię – rzekł ochryplym, lecz sympatycznym głosem. – Fiodor, człowiek śniegu.

Ukloniliśmy się w milczeniu.

– Wy przecież z dołu. Chwała Bogu. Czekam na was dłużej niż rok – od czasu, gdy mnie zrjonalizowano. Przysiądźcie się. Do rozpoczęcia wieczornego posiedzenia Trójki została prawie godzina. Bardzo bym chciał, jeśli pozwolicie, abyście pojawili się na zebraniu choć trochę przygotowani. Naturalnie, wiem niezbyt wiele, lecz pozwólcie, że opowiem wam wszystko, co mi wiadome...

Sprawa nr 42

Staruszek Edelwejs

Przekroczyliśmy próg sali posiedzeń równo o piątej. Byliśmy poinstruowani, przygotowani na wszystko, wiedzieliśmy, na co się decydujemy. W każdym razie tak nam się wydawało. Trzeba przyznać, że informacje otrzymane od Fiedy trochę mnie uspokoiły, natomiast Edik wpadł w przygnębienie. Zdziwiło mnie to, ale jego przygnębienie próbowałem tłumaczyć sobie tym, że Edik był zawsze człowiekiem czystej nauki, dalekim od wszelkich dzienników podawczych czy rejestrów, dziurkaczy czy wykazów. Jego przygnębienie wzbudzało we mnie, człowieku stosunkowo doświadczonym, poczucie przewagi, czułem się starszy i gotów byłem trzymać się twardo.

W sali obecny był tylko jeden człowiek – sądząc po charakterystyce danej przez Fiedę, komendant Kolonii, towarzyszy Zubo. Siedział za maleńkim stołem, trzymał przed sobą otwartą teczkę i aż podrygiwał z niecierpliwości i zdenerwowania. Tęgi, podobny do Duremara, bez przerwy poruszał wargami, a oczy miał białe jak antyczne posągi. Z początku nas nie zauważył. Siedliśmy cichutko przy ścianie pod tabliczką „Przedstawiciele”. Sala miała trzy okna, przy drzwiach stał

goły stół demonstracyjny, ogromny stół przy ścianie naprzeciw pokryty był zielonym sukmem. W kącie wznosił się poczwarny brunatny sejf, zavalony biurowymi teczkami stół komendanta przycupnął u jego podnóżka. W sali znajdował się również maleńki stolik pod tabliczką „Konsultant naukowy” oraz gigantyczny, na półtorej ściany długi transparent. „Społeczeństwu zbędne są niezdrowe sensacje. Społeczeństwu potrzebne są zdrowe sensacje”. Spojrzałem z ukosa na Edika. Edik nie odrywał oczu od transparentu. Był kompletnie przybity.

Nagle komendant drgnął, obrócił wielki nos i zauważył naszą obecność.

– Postronni! – powiedział z pełnym przerażenia zdziwieniem.

Wstaliśmy, by się uklonąć. Nie spuszczać z nas oka, komendant wygramolił się zza swojego stolika, wykonał kilka skradających się kroków i zatrzymawszy się przed Edikiem, wyciągnął dłoń. Dobrze wychowany Edik uśmiechnął się blado, uściskał mu dłoń, po czym cofnął się o krok i znów się uklonił. Wydawało się, że komendant jest wstrząśnięty. Dłuższą chwilę stał w poprzedniej pozycji, potem uniósł dłoń do twarzy i obejrzał z niedowierzaniem. Coś się nie zgadzało. Komendant zamrugał oczami, po czym z ogromnym zaniepokojeniem, jakby szukając czegoś upuszczonego, zaczął oglądać podłogę przy swoich nogach. W tym momencie zorientowałem się.

– Dokumenty! – syknąłem. – Pokaż mu dokumenty!

Komendant, uśmiechając się niezbyt normalnie, dalej oglądał podłogę. Edik pospiesznie podał mu swoją legitymację służbową i delegację. Komendant pożarł oczami najpierw delegację, potem fotografię w legitymacji, a na zakąskę samego Edika. Zgodność fotografii z oryginałem wprawiła go w jawny zachwyty.

– Bardzo mi miło! – wykrzyknął. – Moje nazwisko Zubo. Miło mi powitać. Urządźcie się, zakwaterujcie, towarzyszu Amperian, mamy przed sobą pracy a pracy... – Nagle zatrzymał

się i spojrzął na mnie. Trzymałem już w pogotowiu swoją legitymację i delegację. Procedura pożerania powtórzyła się. – Bardzo mi miło! – krzyknął komendant z identyczną jak poprzednio intonacją. – Moje nazwisko Zubo. Komendant. Urządzajcie się, towarzyszu Priwałow, zakwaterujcie...

– Jak z hotelem? – spytałem urzędowym tonem. Wydało mi się, że będzie to najwłaściwszy ton. Niestety, popełniłem błąd. Komendant puścił moje pytanie mimo uszu. Właśnie oglądał delegację.

– Skrzyńka Czarna Idealna – mruczał pod nosem. Mamy taką, jeszcze nie rozpatrywaliśmy... Mówiąca Pluskwa, wiecie, już zrationalizowana, towarzyszu Amperian... Nie wiem, nie wiem... Ławr Fiedotowicz jeszcze popatrzy, ale na waszym miejscu byłbym ostrożny...

Nagle zamilkł, natężył słuch i klusem rzucił się na swoje miejsce. W poczekalni rozległy się kroki, kaszel, drzwi otworzyły się i na salę wkroczyła Trójka w pełnym swoim składzie – wszyscy czterej.

Ławr Fiedotowicz Winiukow całkowicie zgadzał się z opisem: biały, wypiełgnowany, potężny, nie zwracając uwagi na nikogo, przemaszerował na miejsce przewodniczącego, siadł, postawił przed sobą ogromną teczkę, otworzył ją z trzaskiem i zaczął wyładować na zielone sukno przedmioty, niezbędne do skutecznego przewodniczenia. Była tam teczka na papiery z krokodylowej skóry, komplet długopisów w safianowym etui, paczka papierosów „Herzegowina-Flor”, zapalniczka w kształcie łuku triumfalnego i przyzmatyczna lornetka teatralna.

Rudolf Archipowicz Chlebowwodow, żółty i chudy jak wiejski płotek, siadł po lewej ręce Ławra Fiedotowicza i natychmiast zaczął szeptać mu coś do ucha, biegnąc bez celu zaczerwienionymi oczami po kątach sali.

Rudy, pulchny Farfurkis nie zasiadł za stołem. Demokratycznie zajął miejsce na twardym krześle naprzeciw komendanta, wyjął gruby, zapisany notes w wyblakłej okładce i zaczął coś notować.

Konsultant naukowy, profesor Wybiegałło, którego pozna-
liśmy bez uciekania się do jakichkolwiek opisów, obejrzał nas
obojętnie, zmarszczył brwi, podniósł na moment oczy do góry,
jak gdyby starając się przypomnieć, gdzie to on miał okazję
nas już poznać. Powiewał jednak nie udało mu się to, siadł za
swoim stolikiem i szybko rozpoczął przygotowania do roz-
poczęcia pełnienia obowiązków. Pojawił się przed nim pierw-
szy tom Małej Encyklopedii Radzieckiej, potem drugi, trzeci,
czwarty...

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz i spojrzął po obecnych
wzrokiem przenikającym ściany i widzącym wszystko na wy-
lot. Wszyscy byli przygotowani: Chlebowwodow poszepty-
wał, Farfurkis robił kolejną notatkę, komendant niczym uczeń
przed klasówką przewracał nerwowo kartki, a Wybiegałło
położył przed sobą tom szósty. Jeśli chodzi o przedstawicieli,
to wedle wszelkich danych nie mieliśmy żadnego znaczenia.
Spojrziałem na Edika i natychmiast się odwróciłem. Edik był
bliski kompletnej demoralizacji. Pojawienie się Wybiegałły
zupełnie go wykończyło.

– Wieczorne posiedzenie Trójki uważam za otwarte – po-
wiedział Ławr Fiedotowicz – Następny! Referujcie, towarzy-
szu Zubo.

Komendant podskoczył i rozpoczął cienkim głosem, trzy-
mając przed sobą otwartą teczkę.

– Sprawa numer czterdzieści dwa. Nazwisko: Maszkin.
Imię: Edelwejs. Imię ojca: Zachar.

– Od kiedy to on się podaje za Maszkina? – zapytał z obrzy-
dzeniem Chlebowwodow. – Babkin, a nie Maszkin! Babkin
Edelwejs Piotrowicz. Pracowałem z nim w tysiąc dziewięćset
sześćdziesiątym siódmym roku w Komitecie Gospodarki
Mlecznej. Edli Babkin, taki krępy facet, śliwki bardzo lubi...
I niestety, to nie Edelwejs, tylko Edward Piotrowicz Babkin...

Ławr Fiedotowicz zwrócił powoli kamienną twarz na
Chlebowwodowa.

– Babkin? – rzekł. – Nie pamiętam... Kontynuujcie, to-
warzyszu Zubo.

– Imię ojca: Zachar – powtórzył komendant i zadrżał mu policzek. – Rok i miejsce urodzenia: tysiąc dziewięćset pierwszy, miasto Smoleńsk, narodowość...

– E-dul-wejs czy E-dol-wejs? – zapytał Farfurkis.

– E-del-wejs – powiedział komendant. – Narodowość: Białorusin. Wykształcenie: niepełne średnie ogólnokształcące, niepełne średnie techniczne. Znajomość języków obcych: rosyjski – biegle, ukraiński i białoruski – ze słownikiem. Miejsce pracy...

Chlebowwodow pacnął się nagle głóśno w czoło.

– Ależ nie! – wrzasnął. – On umarł!

– Kto umarł? – drewnianym głóśem zapytał Ławr Fiedotowicz.

– No, ten Babkin. Jak dziś pamiętam – w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, na zawał serca. Został wówczas dyrektorem administracyjnym Wszechrosyjskiego Związku Odkrywców Przyrody i umarł. Dlatego coś się tu nie zgadza.

Ławr Fiedotowicz podniósł lornetkę i co jakiś czas badawczo spoglądał na komendanta, który całkowicie utracił dar mowy.

– Czy wyszczególniony jest fakt śmierci? – poinformował się Ławr Fiedotowicz.

– Jezu Chryste... – wybelkotał komendant. – Jakiej śmierci?... Po co zaraz śmierci... On żyje, czeka w poczekalni...

– Chwileczkę – wmieszał się Farfurkis. – Pozwolicie, Ławrze Fiedotowiczu? Towarzyszu Zubo, kto czeka w poczekalni? Tylko dokładnie. Nazwisko, imię własne, imię ojca.

– Babkin! – jęknął komendant. – To znaczy, co ja gadam! Nie Babkin, a Maszkin! Maszkin czeka. Edelwejs Zacharowicz.

– Rozumiem – rzekł Farfurkis. – A gdzie jest Babkin?

– Babkin umarł – powiedział autorytatywnie Chlebowwodow. – Z całą pewnością w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Mówiąc między nami, miał syna. Chyba było mu Paszka. Znaczy się Paweł Edwardowicz. Zarządza teraz magazynem odpadów tekstylnych w Golicynie, tym

pod Moskwą. Robotny facet, ale chyba nie Paweł mimo wszystko, nie Paszka...

Farfurkis nalał do szklanki wodę i podał komendantowi. W ciszy, która nastąpiła, słyhać było jak komendant przełyka głośno. Ławr Fiedotowicz ugniótł papierosa i zapalił.

– Nikt nie jest zapomniany i nic nie jest zapomniane – rzekł. – To dobrze. Towarzyszu Farfurkis, proszę wprowadzić do części zasadniczej protokołu, że Trójka uważa za pozytywne poczynić odpowiednie kroki w celu odnalezienia syna Babkina Edwarda Piotrowicza w kwestii wyjaśnienia jego imienia. Społeczeństwu niepotrzebni są bezimienni bohaterowie. My ich nie mamy.

Farfurkis pokiwał głową i zaczął szybko pisać w zapełnionym już notesie.

– Wypiliście? – spytał Ławr Fiedotowicz, obserwując komendanta przez lornetkę. – Więc kontynuujcie.

– Miejsce pracy w chwili obecnej: rencista-wynalazca – miękkiem głosem odczytał komendant. – Czy był za granicą: nie był. Krótka charakterystyka niewyjaśnioności: heurystyczna maszyna, to znaczy elektronowo-mechaniczne urządzenie do rozwiązywania inżynierskich, naukowych, socjologicznych i innych problemów. Najbliżsi krewni: sierota, braci i siostr nie posiada. Stałe miejsce zamieszkania: Nowosybirsk, ulica Szczukińska 23, mieszkania 88. To wszystko.

– Czy są jakieś propozycje? – zapytał Ławr Fiedotowicz, na w pół spuściwszy ciężkie powieki.

– Ja bym proponował wpuścić – powiedział Chlebowwadow. – Czemu proponuję? A może to Paszka?

– Czy są jeszcze jakieś wnioski? – zapytał Ławr Fiedotowicz, szukając na stole przycisku dzwonka. – Niech sprawa wejdzie, towarzyszu Zubo – powiedział do komendanta po daremnych poszukiwaniach.

Komendant skoczył do drzwi, wysunął głowę, cofnął i usiadł na swoim miejscu. Przechylony na bok pod ciężarem ogromnego czarnego futerału, wtoczył się w ślad za nim chuderlawy staruszek w szerokiej, długiej bluzie z pasem

i w wojskowych bryczesach z pomarańczowymi lampasami. Po drodze do stołu kilka razy próbował się zatrzymać, by uklonić się z godnością, ale posiadający, jak można przypuszczać, zdolność cudownej inercji futerał nieubłaganie niósł go do przodu. Może nawet nie obeszło by się bez ofiar, gdybyśmy wraz z Edikiem nie podtrzymali staruszka na pół metra przed Farfurkiszem, który już podskakiwał ze strachu. Poznałem staruszka już w pierwszej chwili. Wiele razy bywał w naszym instytucie i w wielu innych instytucjach też, kiedyś nawet widziałem go w poczekalni wiceministra Przemysłu Ciężkiego, gdzie jako pierwszy siedział w kolejce – cierpliwy, czystutki, płonący entuzjazmem. Był to starszek sympatyczny, dość nieszkodliwy, ale niestety nie potrafił się włączyć w bieg postępu naukowo-technicznego.

Wyjąłem z jego rąk futerał i umieściłem wynalazek na stole demonstracyjnym. Uwolniony starszek uklonił się wreszcie.

– Moje uszanowanie. Maszkin Edelwejs Zacharowicz, jestem wynalazcą – rzekł drżącym głosem.

– Nie ten – półgłosem powiedział Chlebowwodow. – Nie ten, niepodobny. Chyba całkiem inny Babkin. Imiennik chyba.

– Tak, tak – z uśmiechem potwierdził starszek. – Przyniosłem, tego, przed sąd społeczności. Profesor, tego, towarzyszu Wybiegałło, daj mu Boże zdrowie, rekomendował. Mogę, tego, już demonstrować, jeżeli nie macie nic przeciwko, bo, tego, już zasiedziałem się u was w Kolonii całkiem niemożliwie...

Obserwujący go uważnie Ławr Fiedotowicz odłożył lornetkę i z wolna skinął głową. Starszek zakrzętnął się. Spod pokrywy futerału wyłoniła się ogromna, staroświecka maszyna do pisania. Wyciągnął z kieszeni kłębek przewodu, wetknął jeden koniec gdzieś we wnętrze maszyny, wyszukał wtyczkę, rozsypał przewód i wetknął wtyczkę w gniazdko.

– Macie oto przed sobą tak zwaną maszynę heurystyczną – powiedział wolno starszek. – Precyzyjne elektroniczno-

-mechaniczne urządzenie, udzielające odpowiedzi na wszelkie pytania, w szczególności dotyczące nauki i gospodarki. Jak ono działa? Nie posiadając dostatecznych środków i będąc podkopywanym przez różnych biurokratów, maszyna moja nie jest jeszcze w pełni zautomatyzowana. Pytania przekazuje się jej drogą ustną, ja je drukuję, wprowadzam do jej wnętrza, że tak powiem, do jej świadomości. Odpowiedź znów, ze względu na niepełną automatyzację, drukuję osobiście. Jestem, w pewnym sensie, pośrednikiem, cha, cha! Służę więc uprzejmie.

Staruszek stanął przy maszynie, eleganckim ruchem przesunął wałek i we wnętrzu maszyny zapaliła się neonowa żarówka.

– Służę uprzejmie – powtórzył staruszek.

– Co tam macie za lampkę? – zapytał z zainteresowaniem Farfurkis.

Staruszek natychmiast uderzył w klawisze, potem szybko wyciągnął z maszyny kartkę papieru i truchtem podbiegł do Farfurkisa.

– „Pytanie: co tam w ni... hmm... w niej, w środku za lpk...” – głośno odczytał Farfurkis. – Elpeka... Cóż to za elpeka?

– Znaczy się, lampka – powiedział staruszek, chichocząc i zacierając ręce. – Kodujemy powolutku. – Wyrwał Farfurkisowi kartkę i pobiegł z powrotem do maszyny. – To, znaczy się, było pytanko – rzekł wciskając kartkę pod wałek. – A teraz zobaczymy, co nam powie maszyna...

Członkowie Trójki z zainteresowaniem śledzili ruchy Maszki. Profesor Wybiegałło dobrodusznie i po ojcowsku promieniał, eleganckimi ruchami wybierając z brody jakieś śmiecie. Edik znajdował się w stanie w pełni uświadomionej nostalgii. Staruszek dumnie uderzył w klawisze i znów wyciągnął kartkę.

– Oto odpowiedź, służę.

– „W moim wnętrzu... hmm... nie...neonówka” – odczytał Farfurkis – Co to takiego – neonówka?

– Ein sekund – zakrzyknął wynalazca, chwycił kartkę i znów pobiegł do maszyny.

Ruszyło. Maszyna dała godną analfabety odpowiedź, odpowiedziała Farfurkisowi, co pisze „w środku” zgodnie z zasadami gramatyki, następnie...

– Jakiej znów gramatyki? – spytał Farfurkis.

– A naszej rosyjskiej grmtk – odpowiedziała maszyna.

– Czy znacie Babkina Edwarda Piotrowicza? – wtrącił się Chlebowwodow.

– Całkiem nie – odpowiedziała maszyna.

– Hmm... Jakie będą wnioski? – spytał Ławr Fiedotowicz.

– Uznać mnie za fakt naukowy – odparła ponownie maszyna.

Staruszek biegał i drukował z niewiarygodną szybkością. Pełen zachwytu komendant podskakiwał na krześle i pokazywał nam uniesiony kciuk. Edik powoli odbudowywał swoją własną równowagę psychiczną.

– Ja w tych warunkach nie mogę pracować. – powiedział rozdrażniony Chlebowwodow. – Co on tak lata jak kot z pęcherzem?

– Z powodu przyspieszenia – wyjaśniła maszyna.

– Weźcie ten świstek – rzekł Chlebowwodow. – Ja was o nic nie pytam. Czy możecie to zrozumieć?

– Tak jest, mogę – odparła maszyna.

Trójka zrozumiała wreszcie, że jeśli ma zamiar w ogóle zakończyć dzisiejsze posiedzenie, musi się wstrzymać od jakichkolwiek pytań, włącznie z retorycznymi. Zapadła cisza. Zzajany staruszek przysiadł na brzeжку krzesła i dysząc przez półotwarte usta, ocierał chusteczką czoło. Wybiegałło spoglądał dumnie wokoło.

– Zgłaszam wniosek – powiedział Farfurkis, starannie dobierając słowa. – Niech konsultant naukowy dokona eksperyty i przedstawi nam swój pogląd.

Ławr Fiedotowicz popatrzył na Wybiegałkę i majestatycznie skłonił głowę. Wybiegałło wstał. Wybiegałło uprzejmie wyszczerzył zęby. Wybiegałło położył rękę na sercu. Wybiegałło przemówił.

– Tego... – powiedział. – Może się stworzyć, Ławrze Fiedotowiczu, przykra sytuacja. Było nie było, a że suizan rekomendującym set nobl wie. Zaczną się plotki... tego... kumoterstwo, tego, protekcja... Między innymi ma miejsce przypadek oczywisty, racjonalizacja... tego... urzeczywistniona w trakcie eksperymentu... Nie chciałbym podstawić pod cios tak dobrego początku, gasić inicjatywy. Jak będzie najlepiej? Lepiej będzie, jeżeli ekspertyzy dokona osoba niezainteresowana... tego... postronna... Oto w tej chwili wśród przedstawicieli z dołu znajduje się towarzysz Priwałow Aleksander Iwanowicz... Jest on osobą kompetentną w kwestii maszyn elektronicznych. Prócz tego jest niezainteresowany. Niech on dokona. Sądzę, że tak będzie najwłaściwiej.

Ławr Fiedotowicz podniósł lornetkę i zaczął się nam przyglądać. Edik ożywił się wreszcie. – Sasza, musisz! – wyszeptał błagalnie – Dołóż im! Taka okazja!

– Zgłaszam wniosek – powiedział Farfurkis – o zwrócenie się z prośbą do towarzysza przedstawiciela z dołu, by włączył się w pracę Trójki.

Ławr Fiedotowicz odłożył lornetkę i wyraził zgodę. Wszyscy patrzyli na mnie. Rzecz jasna, nigdy bym się nie mieszał w tę historię, gdyby nie staruszek. Cette noble vieux tak żałośnie mrugał do mnie czerwonymi powiekami i cały jego wygląd wyrażał tak wyraźną obietnicę modlenia się za mnie przez okrągły wiek, że nie wytrzymałem. Staruszek uśmiechnął się do mnie radośnie. Obejrzałem agregat.

– No, dobra... – powiedziałem. – Trzeba stwierdzić, że maszyna do pisania marki „Remington”, rok produkcji tysiąc dziewięćset szósty, znajduje się w dość dobrym stanie. Przedrewolucyjna czcionka jest także w niezłym stanie. – Zauważyłem błagający wzrok staruszka i szcęknąłem wyłącznikiem. – Krótko mówiąc, nic nowego wyżej wspomniany piszący mechanizm niestety nie wnosi. Wnosi tylko bardzo stare...

– W środku! – wyszeptał staruszek. – Spójrzcie do środka, tam gdzie jest analizator i myśliciel...

– Analizator? Nie ma żadnego analizatora. Jest seryjny prostownik, też stary. Neonowa żarówka, normalna. Wyłącznik. Dobry wyłącznik, nowy. Ta-ak... Jest jeszcze sznur. Sznur bardzo dobry, całkiem nowy... I to niestety wszystko.

– A wniosek? – poinformował się żywo Farfurkis.

Edik kiwał głową, dodając mi zapału, a ja dałem mu do zrozumienia, że będę się starał.

– Wniosek? – powtórzyłem. – Wspomniana maszyna marki „Remington” wraz z prostownikiem, żarówką i sznurem nie przedstawia niczego niewyjaśnionego.

– A ja? – krzyknął staruszek.

Edik pokazał mi, jak się daje sierpowego z lewa. Tego nie mogłem.

– Nie, co... – wybełkotałem. – Odwalono kawał roboty... Naturalnie, rozumiem... dobre intencje... Faktycznie – powiedziałem – człowiek się starał... nie można go, ot tak...

– Bój się Boga – głośno powiedział Edik, który w czasie mojej przemowy chwycił się za głowę i patrzył na mnie z pogardą.

– Nie... No, cóż... Niech tam sobie człowiek pracuje, jeśli go to bawi... Ja tylko twierdzę, że niczego niewyjaśnionego tu nie ma... A w ogóle, to nawet inteligentnie...

– Czy są jakieś pytania do towarzysza czasowo pełniącego obowiązki naukowego konsultanta? – spytał Ławr Fiedotowicz.

Dosłyszawszy intonację pytającą, staruszek poderwał się i rzucił w kierunku maszyny, ale powstrzymałem go chwytając za pasek.

– Słusznie – powiedział Chlebowwodow. – Przytrzymajcie go, bo faktycznie pracować nie można. Mimo wszystko to nie zabawa w pytania i odpowiedzi. A w ogóle to wyłącznie tę maszynę, niech nie podsłuchuje.

Oswobodziwszy jedną rękę, szczerknąłem wyłącznikiem, żarówka zgasła i staruszek zamilkł.

– Mimo wszystko pragnę zadać małe pytanie – kontynuował Chlebowwodow. – W jaki sposób ona jednak odpowiada?

Wpatrzyłem się w niego zdębiały. Edik przyszedł już do siebie i surowo zmrużywszy oczy przyglądał się Trójce. Wybiegało był zadowolony. Wyciągnął z brody długi patyk i włożył go między zęby.

– Prostowniki jakieś, wyłączniki – mówił Chlebowwodor – to nam towarzysz p.o. wyjaśnił w sposób dostateczny. Jednego tylko nie wyjaśnił. Faktów nam nie wyjaśnił. A mamy do czynienia z oczywistym faktem, że kiedy zadajemy pytanie, żeby nie wiem co, otrzymujemy odpowiedź. W formie pisemnej. Jeżeli nawet zadaje się pytanie komuś innemu i tak dostanie się odpowiedź. A wy mówicie towarzysz p.o., że nie ma nic niewyjaśnionego. Coś tu się nie zgadza. Nie wiemy, co mówi na ten temat nauka.

Nauka w mojej osobie straciła dar mowy. Chlebowwodor zarząnął mnie, zamordował, zabił i zakopał w ziemi. Za to Wybiegało zareagował natychmiast.

– Tego... – powiedział. – Mówię przecie, ładny początek! Występuje element niewyjaśnioności, inicjatywa oddolna... Dlatego i rekomendowałem. Tego... – rzekł do staruszka. – Wyjaśnij nam mą szer, towarzyszom, co to tu u ciebie, tam, tego...

– Najwyższe osiągnięcie neutronowej megaloplazmy! – wybuchnął staruszek. – Wirnik pola na podobieństwo dywergencji graduje się wzdłuż rdzenia i tam, wewnątrz, przetwarza materię pytania w spirytualne wiry elektryczne, z których w konsekwencji powstaje synekdocha odpowiedzi.

Pociemniało mi w oczach, w ustach poczułem smak chininy i ból zębów. Przeklęty noble wciąż gadał i gadał, a mowa jego była gładka i płynna. Było to poprawnie zbudowane, wykute na pamięć, nieraz już wygłaszane przemówienie, a każde jego słowo, każda intonacja była wypełniona treścią emocjonalną. Było to prawdziwe dzieło sztuki. Staruszek nie był byle jakim wynalazcą. On był artystą, genialnym oratorem godnym tradycji Demostenesa, Cicerona, Jana Złotoustego... Zachwiałem się, cofnąłem i przyłożyłem czoło do zimnej ściany.

W tej chwili Edik cicho klasnął w dłonie i staruszek zamilkł. Na sekundę zdało się, że Edik zatrzymał czas. Wszystko znieruchomiało, jakby ludzie zasłuchali się w głęboką średniowieczną ciszę, miękkim aksamitem zalegającą salę. Z kolei Ławr Fiedotowicz odsunął krzesło i powstał.

– Zgodnie z przepisami i wszystkimi prawami powinienem być mówić jako ostatni – rozpoczął. – Bywają jednak sytuacje, gdy prawa i przepisy obracają się przeciw swoim twórcom i należy je odrzucić. Zaczynam mówić jako pierwszy, ponieważ nie mogę czekać i milczeć. Zaczynam mówić jako pierwszy, bowiem nie spodziewam się i nie zniosę żadnych sprzeciwów.

Rzecz jasna, że o żadnych sprzeciwach nie mogło być nawet mowy. Szeregowi członkowie Trójki byli tak wstrząśnięci tym nieoczekiwanym potokiem wymowy, iż pozwolili sobie tylko na wymianę spojrzeń.

– Jesteśmy gwardią nauki – kontynuował Ławr Fiedotowicz. – Jesteśmy wrotami do tej świątyni, bezstronnymi filtrami, chroniącymi ją od fałszu i błędnych dróg. Chronimy ziarna wiedzy od plew ignorancji i fałszywej mądrości. I dopóki trwamy na tym posterunku, nie jesteśmy ludźmi, nie znamy pobłażliwości, litości ani hipokryzji. Istnieje dla nas tylko jeden pewnik – prawda. Prawdę trzeba oddzielić od pojęcia dobra i zła, oddzielić od człowieka i ludzkości. Nie ma ludzkości, po cóż więc prawda? Nikt nie zdobywa wiedzy, to znaczy nie ma ludzkości. Na co więc wówczas prawda? Skoro znamy odpowiedzi na wszystkie pytania, niepotrzebna jest wiedza, a więc nie ma ludzkości. Po cóż więc nam wówczas prawda? Kiedy poeta mówił „I na odpowiedzi brak pytań”, przedstawił najstraszniejszą sytuację ludzkości – oczywistą jej sytuację... Owszem, ten oto człowiek, który stoi przed nami – to geniusz. Wcieliła się w niego i przez niego wyraża naturalna sytuacja ludzkości. Jest on jednak mordercą, ponieważ morduje duszę. Więcej, to przerażający morderca, bowiem zabija on duszę całej ludzkości. Z tych też przyczyn nie mamy prawa być w dalszym

ciągu bezstronnymi filtrami. Powinniśmy przypomnieć sobie, że jesteśmy ludźmi, i jako ludzie powinniśmy bronić się przed mordercą. Nie powinniśmy tu deliberować, lecz sądzić. Ale brak nam praw dla takiego sądu i dlatego nie sądzić nam przychodzi, a bezlitośnie karać, tak jak karzą ogarnięci paniką. I ja, jako najstarszy wśród was, naruszając prawa i ustawy, jako pierwszy mówię: śmierć!

Szeregowi członkowie Trójki zadrżeli.

– Którego? – z gotowością do czynu zapytał Chlebowwow, który zrozumiał zapewne tylko ostatnie słowo.

– Imposibel! – klasnąwszy w dłonie, wyszeptał z przerażeniem Wybiegałło.

– Za pozwoleniem, Ławrze Fiedotowiczu! – wybełkotał Farfurkis. – To wszystko racja, ale czy my możemy...

W tym momencie Edik znów klasnął w dłonie.

– Hrrrm... – rzekł Ławr Fiedotowicz i usiadł. – Zgłaszam wniosek o uznanie zmierzchu za zapadnięty i w związku z powyższym o zapalenie światła.

Komendant zerwał się z miejsca i zapalił światło. Ławr Fiedotowicz, nie mrużąc oczu, spojrzął na lampę jak orzeł na słońce i przeniósł wzrok na „Remingtona”.

– Wyrażając powszechny pogląd – powiedział – postanawiam: wymienioną wyżej sprawę numer czterdzieści dwa uważam za zracjonalizowaną. Przechodząc do problemu utylizacji, proponuję towarzyszewi Zubo ogłosić wniosek.

Komendant zaczął pospiesznie kartkować akta. Profesor Wybiegałło wysunął się zza swojego stolika, serdecznie uściśnął dłoń staruszkowi, a potem, zanim zdążyłem się od tego wykręcić, także i mnie. Profesor promieniał. Nie wiedziałem gdzie się schować, nie śmiałem spojrzeć Edikowi w oczy. Gdy zastanawiałem się ponuro, czy nie palnąć „Remingtonem” w łeb Ławra Fiedotowicza, pochwyił mnie staruszek. Jak kleszcz wczepił się w moją szyję i drapiąc niedogoloną brodą ucałował mnie trzykrotnie. Nie pamiętam, w jaki sposób dobrnąłem do swego stolika. Pamiętam tylko szept Edika: „Och, Sasza!... No, cóż, i tak się zdarza...”.

W tym czasie komendant zdążył przekartkować całe akta. Tragicznym głosem ogłosił, że brak jakichkolwiek wniosków w tej sprawie. Farfurkis wniósł protest i zacytował odpowiedni artykuł instrukcji, z którego wynikało, że racjonalizacja bez utylizacji jest po prostu nonsensem i może być uznana za istniejącą tylko umownie. Chlebowwodow zaczął wrzeszczeć, że na takie numery nie pójdzie, że nie życzy sobie brać pieniędzy za darmo i nie pozwoli komendantowi na władowanie krowie pod ogon czterech roboczogodzin.

Ławr Fiedotowicz w geście aprobaty puścił dym z papierosa.

– A czy to nie krewny mojego Babkina? – wrzasnął bez sensu Chlebowwodow. – Jak to brak wniosków? Muszą być wnioski! Spójrzcie tylko, jaki to staruszek! Toż to talent wrodzony! Co wy sobie myślicie! Mamy szastać takimi społecznymi staruszkami?

– Społeczeństwo nie pozwoli na szastanie staruszkami – zauważył Ławr Fiedotowicz. – I społeczeństwo będzie miało rację.

– Słusznie! – wykrzyknął nagle Wybiegałło. – Właśnie, społeczeństwo! I właśnie, nie pozwoli! Jak to brak wniosków, towarzyszu Zubo? A czemu to brak? – Zerwał się z miejsca i jak burza wpadł na górę papierów leżących przed komendantem. – Jak to brak? – bełkotał. – A to co? Pterodaktyl popolity... Dobra... A to? Szkatułka Pandory! Czemu by nie szkatułka... Może być Pandory, może być i Maszkina... Ostatecznie to formalność... Albo to na przykład Mówiąca Pluskwa... Mówiąca, pisząca, drukująca... Jak to brak wniosków, towarzyszu Zubo? A to co? Czarna Skrzynka? Wnioseczek na Czarną Skrzynkę jest – jest. A wy mówicie, że nie ma.

– Czekaście! – powiedziałem, ale nikt mnie nie słuchał.

– Ależ to nie ta Czarna Skrzynka! – krzyczał komendant, kładąc dłonie na piersi. – Czarna Skrzynka podpada pod całkiem inny numer.

– Jak to nie czarna! – krzyczał w odpowiedzi Wybiegałło, chwytając czarny, obszarpany futerał od „Remingtona”. –

A jaki on jest według was, co? Może zielony? Albo biały? Siejecie dezinformację, społecznymi staruszkami szastacie!

Komendant wykrzykiwał, że faktycznie, to też jest czarna skrzynka. Ani zielona, ani biała, a rzeczywiście czarna, ale to nie ta skrzynka. Tamta skrzynka podpada pod numer dziewięćdziesiąty siódmy i w jej kwestii jest wniosek towarzysza Priwałowa, właśnie dziś dostarczony, a to jest czarna skrzynka – i w ogóle nie skrzynka, ale maszyna heurystyczna i podpada pod numer czterdziesty drugi i w jej kwestii wniosków brak. Wybiegało darł się, że nie ma co... tego... zonglować tu cyframi i szastać staruszkami. Czarne jest czarne, a nie zielone czy białe, nie ma się nad czym zastanawiać, szerzyć machizmu i wszelkiego empiriokrytycyzmu. Niech towarzysze członkowie Wysokiej Trójki sami popatrzą i powiedzą, czy to czarna skrzynka, czy, powiedzmy, zielona. Chlebowwodow krzyczał coś o Babkinie, Farfurkis żądał nieodbiegania od instrukcji, Edik z ukontentowaniem wrzeszczał „Precz!”, a ja powtarzałem jak zepsuty patefon: „Moja Czarna Skrzynka – to nie skrzynka...”.

Wreszcie do Ławra Fiedotowicza dotarł fakt powstania pewnego nieporządku.

– Hrrrm! – powiedział i wszystko ucichło. – Kłopoty jakieś? Towarzyszu Chlebowwodow, usuńcie.

Chlebowwodow podszedł zdecydowanym krokiem do Wybiegały, wyjął mu z rąk futerał i uważnie obejrzał.

– Towarzyszu Zubo – powiedział – w jakiej kwestii macie wniosek?

– Czarnej Skrzynki – pośepnie odrzekł komendant. – Sprawa numer dziewięćdziesiąt siedem.

– Ja się ciebie nie pytam, jaki numer – zniecierpliwiał się Chlebowwodow. – Ja się ciebie pytam, czy jest wniosek w kwestii czarnej skrzynki.

– Jest – przyznał komendant.

– Czyj wniosek?

– Towarzysza Priwałowa z INBAD CZAM-u. Siedzi tutaj.

– Tak – powiedziałem z pasją – ale moja Czarna Skrzynka, to nie skrzynka, a ściśle mówiąc, niezupełnie skrzynka...

Jednak Chlebowwodow nie zwrócił wcale na mnie uwagi. Obejrzał futerał pod światło, potem przysunął pod nos komendantowi.

– A ty co, biurokrację tu wprowadzasz? – spytał złowieszczo. Ty co, nie widzisz, jaki to kolor? Na twoich oczach przeprowadziliśmy racjonalizację. Towarzysz przedstawiciel siedzi ci przed nosem, oczekuje załatwienia sprawy, kolację trzeba zjeść, na dworze ciemno, a ty cyferkami sobie żonglujesz?

Czułem, że spływa na mnie jakaś melancholia, a moja przyszłość wypełnia się posepnym koszmarem, nie do naprawienia i absolutnie irracjonalnym. Nie rozumiałem jednak, o co chodzi i bełkotałem tylko, że moja skrzynka – to nie całkiem skrzynka, a dokładniej wcale nie skrzynka. Chciałem wyjaśnić, rozproszyć wątpliwości. Komendant też bełkotał jakieś wyjaśnienia, ale Chlebowwodow pogroził mu pięścią i wrócił na swoje miejsce.

– Skrzynka, Ławrze Fiedotowiczu, jest czarna – ogłosił triumfalnie. – Pomyłka jest niemożliwa, sam widziałem. I wniosek jest, i przedstawiciel jest obecny.

– To nie ta skrzynka – wrzasnęliśmy chórem z komendantem, ale Ławr Fiedotowicz doszedł widocznie do wniosku, że nam obu coś szwankuje i powoławszy się na zdanie ludu zaproponował, by przystąpić do bezzwłocznej utylizacji. Sprzeciwów nie było, wszyscy mający głos kiwali głowami.

– Wniosek! – zawołał Ławr Fiedotowicz.

Mój wniosek upadł na zielone sukno przed Ławrem Fiedotowiczem.

– Uchwała!

Na wniosek spadła uchwała.

– Pieczęć!

Drzwi sejfu otworzyły się z trzaskiem, zapachniało zatechłą kancelarią i przed Ławrem Fiedotowiczem błysnęła miedzią Wielka Okrągła Pieczęć. Od razu pojąłem, co się teraz wydarzy. Wszystko we mnie zamarło.

– Nie można! – wysapałem – Ratunku!

Ławr Fiedotowicz ujął pieczęć obiema rękami i uniósł nad wnioskiem. Zebrawszy siły, zerwałem się na równe nogi.

– To nie ta skrzynka! – wrzasnąłem na cały głos. – No co jest... Edik!

– Momencik – powiedział Edik. – Poczekajcie chwilę, i wysłuchajcie mnie.

Ławr Fiedotowicz wstrzymał bezlitosny ruch.

– Postronny? – zapytał.

– Ależ skąd! – ciężko dysząc powiedział komendant. – Przedstawiciel. Z dołu.

– Jeśli tak, to można nie usuwać – rzekł Ławr Fiedotowicz i wznowił proces przykładania Wielkiej Okrągłej Pieczęci, ale okazało się, że zaistniał poważny problem. Coś nie pozwalało Pieczęci się przyłożyć. Ławr Fiedotowicz najpierw na nią naciskał, potem wstał i naciskał całym ciałem, ale przyłożenie mimo wszystko nie nastąpiło. Między pieczęcią a papierem istniała luka, na wielkość której wyraźnie nie miały wpływu wysiłki towarzysza Winiukowa. Zupełnie jakby wypełniała lukę jakaś niewidzialna, lecz ogromnie sprężysta substancja zapobiegająca dociskowi. Ławr Fiedotowicz zorientował się, że jego wysiłki są bezowocne i usiadł. Oparł ręce na poręczach fotela i surowo, choć bez jakiegokolwiek zdziwienia, popatrzył na Pieczęć. Pieczęć nieporuszenie wisiała nad moim wnioskiem na wysokości około dwudziestu centymetrów.

Egzekucja została odłożona i znów poczułem się osaczony. Edik coś tam gorąco i pięknie mówił o rozumie, reformie ekonomicznej, dobru, o roli inteligencji i gospodarskiej mądrości obecnych... Drogi mój przyjaciel podtrzymywał Pieczęć, ratował mnie, głupca i mazgaja, od biedy, którą sam sobie zwałłem na głowę... Obecni słuchali go uważnie, ale z nieukontentowaniem, a Chlebowwodow wiercił się i spoglądał na zegarek. Trzeba było coś zrobić... Trzeba było natychmiast coś przedsięwziąć.

– ... i w końcu po siódme – roztropnie mówił Edik – każdy specjalista, a tym bardziej zatrudniony w tak autorytatywnej

organizacji, powinien dobrze wiedzieć, że tak zwana Czarna Skrzynka to nic więcej jak tylko pewien termin z dziedziny teorii informacji, nie mający nic wspólnego ani z określonym kolorem, ani z określoną formą jakiegokolwiek przedmiotu. A już najmniej Czarną Skrzynką można nazywać stojącą tu maszynę marki „Remington”, wraz z najprostszymi urządzeniami elektrycznymi, które można dostać w każdym sklepie elektrycznym. Wydaje mi się dziwne, że profesor Wybiegałło narzuca autorytatywnej organizacji wynalazek, który wcale wynalazkiem nie jest, i wniosek, który może tylko poderwać jej autorytet.

– Protestuję – powiedział Farfurkis. – Po pierwsze, towarzysz przedstawiciel z dołu naruszył tutaj wszystkie przepisy dotyczące sposobu posiedzenia, zabrał głos, choć nikt mu go nie udzielił, a na dodatek przekroczył limit czasu. To raz.

Pieczęć drgnęła i opadła o kilka centymetrów.

– Dalej, nie możemy pozwolić towarzyszewi przedstawicielowi na szkalowanie naszych najlepszych ludzi, na oczerzanie zasłużonego profesora i oficjalnego naukowego konsultanta, towarzysza Wybiegałły, oraz obecnej tu i zaaprobowanej przez Trójkę czarnej skrzynki.

Pieczęć opadła jeszcze o kilka centymetrów.

– Wreszcie, towarzyszu przedstawicieli, powinniście wiedzieć, że Trójki nie interesują żadne wynalazki. Obiektem zainteresowania Trójki są niewyjaśnione zjawiska, w tym wypadku jako takowe występuje rozpatrzona już i zracjonalizowana czarna skrzynka, będąca maszyną heurystyczną.

– Jeżeli będzie się udzielać głosu każdemu przedstawicielowi, można stąd do nocy nie wychodzić – rzekł z urazą Chlebowwodow.

Pieczęć znów opadła. Luka miała teraz najwyżej dziesięć centymetrów.

– To nie ta czarna skrzynka – powiedziałem, tracąc znów dwa centymetry. – Ja wcale nie chcę tej skrzynki! Protestuję! Po diabła mi to pudło z „Remingtonem”? Ja wniosem żalenie.

– Macie prawo – wielkodusznie stwierdził Farfurkis i wygrał jeszcze centymetr.

– Edik! – zawołałem błagalnie.

Edik przemówił znowu. Wywoływał cienie Łomonosowa i Einsteina, cytował wstępniaki centralnych gazet, podnosił pod niebiosa naukę i naszych mądrych organizatorów, lecz daremnie. W końcu cały problem znużył Ławra Fiedotowicza i przerwawszy mówcy rzekł tylko jedno słowo:

– Nieprzekonujące – przerwał.

Rozległ się odgłos ciężkiego uderzenia i Wielka Okrągła Pieczęć wpiła się w mój wniosek.

Sprawy różne

Opuściliśmy salę posiedzeń jako ostatni. Byłem przygnębiony. Edik prowadził mnie pod rękę. On też był zdeenerwowany, lecz zachowywał pozorny spokój. Wokół nas, unoszony inercją swojego agregatu wił się staruszek Edelwejs. Szeptał mi o miłości do grobowej deski, obiecywał umywać mi nogi i pić po tym wodę, żądał także pieniędzy w ramach służbowej diety. Edik dał mu trzy ruble i kazał przyjść pojutrze. Edelwejs wyprosił jeszcze pięćdziesiąt kopiejek za ciężkie warunki i zniknął. Zrobiło mi się lżej na duszy.

– Nie wpadaj w rozpacz – powiedział Edik. – Jeszcze nie wszystko stracone. Mam pewną myśl.

– Jaka? – spytałem ospale.

– Zwróciłeś uwagę na przemówienie Ławra Fiedotowicza?

– Zwróciłem – powiedziałem. – A po co ci to?

– Sprawdziłem, czy występują u niego procesy myślowe – wyjaśnił Edik.

– No i co?

– Widziałeś – są. Procesy są i ja mu je rozruszałem. Były zupełnie unieruchomione. Jedynie biurokratyczne odruchy.

Ale wmówiłem mu, że stoi przed nim prawdziwa maszyna heurystyczna, a on sam wcale nie jest jedynie Winiukowem, lecz prawdziwym administratorem z szerokimi horyzontami. Jak widzisz, to już coś. Co prawda, posiada on ogromną sprężystość psychiczną. Kiedy przerwałem pole, nie zauważyłem żadnych śladów ostatecznej deformacji. Jakim był, takim i pozostał. Na razie to pierwsza próba. Teraz przeliczę wszystko jak należy, dostroję aparat i wtedy zobaczymy. Niemożliwe, żeby nie można było go zmienić. Zrobimy z niego porządnego człowieka. Nam będzie dobrze, wszystkim będzie dobrze i jemu też będzie dobrze...

– Czyżby? – wyraziłem wątpliwość.

– Widzisz – rzekł Edik – istnieje teoria pozytywnej remoralizacji. Wynika z niej, że każdą istotę, która posiada choć iskierkę rozumu, można przekształcić w porządną. Inna rzecz, że każdy przypadek wymaga zastosowania innej metody. I my tej metody poszukamy. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

Wyszliśmy na ulicę. Śnieżny Fiedia czekał już na nas. Podniósł się z ławki i prowadząc się pod ręką ruszyliśmy w trójkę ulicą Pierwszego Maja.

– Ciężko było? – spytał Fiedia.

– Cholernie – odrzekł Edik. – Gadać nie mogę, słyszeć przestałem, a na dodatek porządnie zgłupiałem. Zauważyliście, Fiedia, jak zgłupiałem?

– Jeszcze nie – powiedział Fiedia nieśmiało. – Około godziny trzeba, aby było to widoczne.

– Chce mi się jeść – stwierdziłem. – Muszę zapomnieć. Pójdziemy sobie gdzieś i zapomnimy o wszystkim. Napijemy się wina. Może będą lody...

Edik był za, Fiedia nie protestował, choć przeproszał, że wina nie pije i nie rozumie, po co komu lody.

Na ulicach było mnóstwo ludzi, ale nikt się nie zataczał, tak jak to zwykle bywa letnimi wieczorami w miastach. Potomkowie wojów Olega i Piotrowych grenadierów grzecznie siedzieli na gankach i w milczeniu gryźli pestki. Pestki były

arbuzowe, solone, z dyni, tykwy, a ganki były najróżniejsze – rzeźbione z figurami, rzeźbione z kolumienkami albo po prostu z gładkich desek. Piękne ganki, między którymi trafiały się i wzięte pod ochronę państwową egzemplarze muzealne, oszpeczone ciężkimi żeliwnymi płytami głoszącymi o owej ochronie. Gdzieś w oddali kwakał akordeon, ktoś ćwiczył gamy.

Rozglądając się z ciekawością, Edik wypytywał Fiedię o życie w górach. Fiedia od początku zapałała do dobrze wychowanego Edika wielką sympatią i z ochotą odpowiadała na wszystkie pytania.

– Najgorsi ze wszystkiego – opowiadał – to alpinisci z gitarami. Możecie sobie wyobrazić, jakie to straszne, gdy w naszych cichych ojczystych górach, gdzie szumią jeno lawiny i to zawsze o tej samej porze, nad ranem, nagle nad głową coś zabrzęczy, zastuka i zacznie wrzeszczeć o jakichś tam idiotycznych historyjkach. To straszne, Ediku. Niektórzy u nas od tego chorują, najślabi nawet umierają...

– Mam klawesyn w domu – kontynuował z zadumą. – Stoi sobie na szczycie klawesyn, na lodowcu. Lubię grać na nim w księżycowe noce, kiedy wokół jest cicho i bezwietrznie. Słyszą mnie wtedy psy w dolinie i zaczynają wyć. Słowo daję, Ediku, łzy cisną mi się do oczu, tak jest wtedy przyjemnie i smutno. Księżyc, muzyka płynie w przestrzeń, a gdzieś w oddali wyją psy...

– A co na to wasi współtowarzysze? – zapytał Edik.

– Nie ma ich wtedy. Zazwyczaj zostaje tylko jeden chłopczyk, ale mi nie przeszkadza. Kaleka. Zresztą, was to nie ciekawi.

– Przeciwnie, to bardzo ciekawe!

– Nie, nie... Ale pewnie chcielibyście wiedzieć, skąd się wzięła tam klawesyn. Wyobraźcie sobie, że przynieśli go alpinisci. Bili rekord i zobowiązali się wciągnąć na naszą górę klawesyn. Mamy u siebie wiele dziwnych przedmiotów. Wymyśli sobie taki alpinista wdrzeć się na górę motocyklem, i mamy motocykl, choć trochę uszkodzony... Gitary mamy, rowery, popiersia różne, zenitówki... Jeden rekordzista chciał

wjechać na traktorze, ale nie udało mu się go dostać, wystarał się za to o walec drogowy. Szkoda, że nie widzieliście, jak on się z tym walcem męczył. Tak się starał, ale nie udało mu się, nie dojechał do śniegów. Zabrakło ledwie pięćdziesięciu metrów, abyśmy mieli też walec drogowy... O, jest i Gadacz, zaraz was poznam.

Podeszliśmy do drzwi kawiarni. Na jasno oświetlonych schodach zbytkownego ganku, w pobliżu obrotowych drzwi stał Gadacz Pluskwa. Miał zamiar wejść, ale portier nie chciał go wpuścić. Gadacz był wściekły i zionął od niego silny zapach drogiego courvoisiera. Fiedia przedstawił nas sobie, wsadził Gadacza w pudełko od zapalek i kazał mu siedzieć cicho. Pluskwa siedział cicho, ale ledwie weszliśmy do sali i znaleźliśmy wolny stół, natychmiast rozwalił się na krzesła i zaczął bębnić palcami w blat, wzywając kelnera. Faktycznie to w kawiarni niczego nie jadł ani nie pił, ale mimo wszystko żądał sprawiedliwości i pełnej zgodności między pracą brygady kelnerów a wzniosłymi hasłami, o które walczył. Prócz tego wyraźnie nadymał się wobec Edika. Wiedział już, że Edik przyjechał do Tmuskorpionu właśnie po niego, i jako jego, Gadacza, pracodawca.

Zamówiliśmy sobie z Edikiem jajecznicę po wiejsku, sałatkę z raków i wytrawne wino. Fiedię dobrze znano w kawiarni, więc przyniesiono mu tarty surowy kartofel, liście marchwi i głąby kapuściane, a przed Gadaczem postawiono faszerowane pomidory, które zamówił sobie dla zasady.

Zjadłem sałatkę i poczułem się upokorzony i znieważony. Byłem zziębnięty jak najędźniejszy kundel, język stanął mi kołkiem i nic mi się nie chciało. Prócz tego poprzez szum kawiarniany dolatywały do mnie bez przerwy skrzeczące wrzaski: „Nogi myć i wodę pić!... W jej środku!...”. Za to Gadacz był wyraźnie we wspaniałym nastroju i z rozkoszą demonstrował Edikowi strukturę filozoficzną swojego umysłu, niezależność przekonań i skłonność do uogólnień.

– Po cóż są te bezmyślne i nieprzydatne do niczego istoty! – mówił, oglądając sałkę z poczuciem wyższości. – Istotnie,

tylko takie ociążałe, przezuwające istoty pod wpływem kompleksu niższości zdolne są wymyślić legendę o tym, że są panami przyrody. Pytanie tylko, skąd wziął się ten pogląd. My, owady na przykład, słusznie uważamy się za panów przyrody. Jest nas wiele, jesteśmy wszechobecne, mamy ogromny przyrost naturalny i wiele z nas nie traci drogiego czasu na bezmyślne zajmowanie się potomstwem. Posiadamy takie organy czucia, o których wam, kręgowcom, nawet się nie śniło. Umiemy zapadać w anabiozę na całe wieki, bez żadnego dla siebie uszczerbku. Najbardziej inteligentni przedstawiciele naszej klasy wstawili się jako wielcy matematycy, architekci, socjologowie. Odkryliśmy idealny układ społeczny, władamy gigantycznymi terytoriami, możemy przeniknąć wszędzie, gdzie nam się zachce. Rozpatrzmy taki problem: co wy, ludzie, najbardziej rozwinięte istoty wśród ssaków, umiecie lub chcielibyście umieć, czego my byśmy nie umieli? Tak się chwalcie, że umiecie tworzyć narzędzia produkcji i posługiwać się nimi. Podobni jesteście do kalek, chwalcących się swoimi szcudłami. Z wysiłkiem i trudem budujecie sobie mieszkania, korzystając z takich niezgodnych z naturą sił jak ogień czy para, budujecie je przez tysiące lat wciąż inaczej i nie możecie znaleźć wygodnej i racjonalnej formy mieszkania. A nędzne mrówki, którymi serdecznie gardzę za wulgarność i kult siły fizycznej, rozwiązały ten problem sto milionów lat temu – przy czym rozwiązały raz i na zawsze. Chwalcie się, że się rozwijacie i że wasz rozwój nie ma końca. Możemy się tylko z tego śmiać. Wyważacie otwarte drzwi, odkrywacie rzeczy od dawien dawna opatentowane i od niepamiętnych czasów wykorzystywane, a w szczególności idealne stosunki społeczne i sens życia...

Edik słuchał z profesjonalnym zainteresowaniem.

– Jestem, rzecz jasna, słabym dialektykiem – stwierdził Fiedia, pogryzając wspaniałymi zębami głąb – ale wychowało mnie w przekonaniu, że ludzki umysł to najwyższy wytwór natury. W górach przywykliśmy bać się ludzkiej mądrości i chylić przed nią czoło, i teraz, gdy otrzymałem już pewne

wykształcenie, nie przestają zachwycać się tą śmiałością i sprytem, z którym człowiek stworzył i nie przestaje tworzyć tak zwaną drugą przyrodę. Ludzki rozum – to... to... – pokręcił głową i zamilkł.

– Druga przyroda! – podchwycił jadowicie Pluskwa. – Trzeci żywioł, czwarte królestwo, piąty zmysł, szósty cud świata... Prawdziwie wielki ludzki działacz mógłby zapytać, po co wam dwie przyrody. Zapaskudziliście jedną, a teraz chcecie zamienić ją na drugą... Już wam powiedziałem, Fiodor – druga przyroda to szczudła kaleki. A co się tyczy rozumu... Nie wam o tym mówić i nie mnie słuchać. Od tysięcy lat te bukłaki z pożywieniem pytlują o rozumie i do dziś nie mogą się dogadać, o co właściwie chodzi. W jednym tylko są zgodni: prócz nich nikt inny rozumu nie posiada. Paradne! Jeśli stworzenie jest małe, jeśli można je otruć jakimś chemicznym świństwem albo po prostu rozgnieść palcem, to się z nim nie patyczkują. Rzecz jasna, stworzonko takie posiada instynkt, prymitywną wrażliwość, niższe formy procesów nerwowych... Typowy pogląd zakochanych w sobie imbecyli. Ale oni są rozumni, nie potrzebują uzasadnienia, żeby można było owada rozgnieść palcem bez wyrzutów sumienia. I popatrzcie, Fiodor, jak to uzasadniają. Powiedzmy, ziemna osa złożyła w norce swoje jajka i dźwiga pożywienie dla przyszłego potomstwa. I cóż robią ci bandyci? Ci barbarzyńcy kradną złożone jajeczka, a potem pełni idiotycznego zadowolenia obserwują, jak nieszczęsna matka zatyka cementem pustą norkę. Taka głupia osa – nie wie, co robi, i dlatego kieruje się instynktem, ślepym instynktem, rozumiecie?

Rozumu nie posiada, a w razie potrzeby można ją i paznokciem... Wyczuwacie, jakie to nikczemne pomieszczenie pojęć? *A priori* można stwierdzić, że celem życia osy jest rozmnażanie i opieka nad potomstwem, a jeśli ona z tym zadaniem nie jest w stanie sobie poradzić, to co z nią zrobić? Oni, ludzie, mają jakiś swój kosmos-mosmos, fotosyntezę-motosyntezę, a nędzna osa tylko rozmnażanie, i to rozmnażanie na

poziomie prymitywnego instynktu. Tym ssakom nawet do głowy nie przyjdzie, że taka osa ma bogatsze życie duchowe. Ileż w ciągu swego krótkiego życia musi dokonać, ileż jej się chce dokonać! I w nauce, i w sztuce. Ci ciepłokrwieńcy nawet nie zdają sobie sprawy, że jej po prostu brak czasu i ochoty, by oglądać się na swoje dzieci, tym bardziej że to nawet nie dzieci, a bezmyślne jajka... Naturalnie, osa ma swoje prawa, normy życiowe, moralność. Ponieważ osy są dość nierozważne w kwestii przedłużenia gatunku, prawo przyrody z góry określa kary za niesumienne wypełnianie obowiązków rodzicielskich. Każda porządna osa powinna wykonać czynności w określonej kolejności: wykopać norkę, złożyć jajeczka, przynieść obezwładnione gąsienice i zatkać norkę. Czynności te są po cichu kontrolowane, osa zawsze przewiduje możliwość, że za najbliższym kamyczkiem siedzi inspektor – tajny agent. Rzecz jasna, osa widzi, że jajeczka zostały skradzione lub zabrakło jedzenia. Ale nie może złożyć jajeczek po raz drugi i wcale nie ma zamiaru tracić czasu na uzupełnianie zapasów. Zdając sobie w pełni sprawę z bezcelowości swoich poczynań, udaje, że nic nie zauważyła i doprowadza program do końca, ponieważ wcale jej się nie uśmiecha stawanie przed dziewięcioma instancjami Komitetu Odnowy Gatunku... Wyobraźcie sobie, Fiodor, piękną, prostą szosę od horyzontu po horyzont. Jakiś eksperymentator stawia w poprzek drogi tablicę z napisem OBJAZD. Widoczność jest świetna, kierowca dobrze widzi, że za tablicą absolutnie nic mu nie grozi. Nawet domyśla się, że to czyjś głupi dowcip, ale zgodnie z zasadami dobrego automobilisty skręca w boczną drogę, trzęsie się na wybojach, grzęźnie w błocie, dławi się kurzem, traci masę czasu i nerwów, żeby znów wyjechać na tę samą szosę dwieście metrów dalej. Dlaczego? Wszystko z tego samego powodu: jest posłuszny przepisom i nie chce wydeptywać korytarzy Inspektoratu Ruchu Drogowego, zwłaszcza że może przypuszczać, iż to pułapka i gdzieś tam w krzakach siedzi inspektor z motocyklem. A teraz wyobraźmy sobie, że nieznanzy eksperymentator pragnie zgłębić problem poziomu

ludzkiego intelektu, i że ten eksperymentator jest takim samym zakochanym w sobie głupkiem jak ten, który rozbił gniazdo osy... Cha – cha – cha! Z jakimiż wnioskami by wyskoczył! – Pełen entuzjazmu Gadacz zastukał wszystkimi łapkami po stole.

– Nie – odrzekł Fiedia. – Zbyt upraszczacie problem. To jasne, że człowiek prowadzący samochód nie ma okazji błysnąć intelektem.

– Zupełnie tak samo – przerwał bystry Pluskwa – jak nie błyszczą intelektem osa składająca jajka.

– Czekajcie – powiedział Fiedia – bez przerwy mi przerwacie. Chciałem powiedzieć... No masz, i zapomniałem, co chciałem powiedzieć... Tak! Żeby móc się upajać potęgą ludzkiego rozumu, trzeba objąć zmysłami cały gmach tego rozumu, wszystkie zdobycze nauki, zdobycze literatury i sztuki. Przed chwilą wypowiedzieliście się pogardliwie o kosmosie, a przecież sputniki, rakiety to wielki krok naprzód. Zgodzicie się, że ani jeden stawonóg nie jest w stanie rozwiązać takich problemów.

Pluskwa ruszył pogardliwie wąsami.

– Mogę na to odpowiedzieć, że kosmos stawonogom jest zupełnie zbyteczny, dlatego też nie będziemy o tym mówić. Nie rozumiecie prostych spraw, Fiodor. Każdy gatunek posiada swoje historycznie umotywowane, przekazywane z pokolenia na pokolenie, marzenia. Urzeczywistnienie takich marzeń nazywa się zazwyczaj spełnieniem. Ludzie mieli dwa główne marzenia: marzenie o lataniu, wynikające z zazdrości wobec owadów, oraz marzenie, by dolecieć do Słońca, wynikające z ignorancji, gdyż ludziom zdawało się, że Słońce jest na wyciągnięcie ręki. Nie można się jednak spodziewać, by różne gatunki, a tym bardziej całe typy żywych stworzeń posiadały jedno i to samo Wielkie Marzenie. Śmieszna rzeczą byłoby przypuszczać, że u much z pokolenia na pokolenie przekazywane jest marzenie latania, u ośmiornic – marzenie o morskich głębinach, a u nas, *cimex lectularia* – o Słońcu, którego nie znosimy. Każdy marzy o tym, co

nieosiągalne, ale obiecuje zadowolenie. Rodowym marzeniem ośmiornic, jak wiemy, jest swobodne poruszanie się po łądzie, i ośmiornice w swoich morskich otchłaniach wiele i skutecznie myślą na ten temat. Odwiecznym i złowieszczym marzeniem wirusów jest absolutna władza nad światem i niezależnie od tego, jak przerażające są metody, którymi się posługują, nie można odmówić im wytrwałości, wynalazczości i zdolności do samopoświęcenia w imię wielkiego celu. A potężne marzenie błonkoskrzydłych? Wiele milionów lat temu nierozważnie wyszły na ląd i do tej chwili marzą, by znów powrócić w ojczysty żywioł. Gdybyście mogli usłyszeć ich pieśni i ballady o morzu! Serce pęka z żalości i współczucia. W porównaniu z tymi balladami bohaterski mit o Ikarze i Dedalu to po prostu śmieszna bajeczka. I cóż? Coś niecoś już osiągnęły, przy czym w wyjątkowo sprytny sposób, bowiem dla owadów pomysłowe rozwiązania są typowe. Wychodzą na swoje, tworząc nowe gatunki. Z początku stworzyły ważkę biegającą po wodzie, potem ważki wodołazy, a teraz całą parą idzie praca nad wytworzeniem ważki oddychającej w wodzie. Nie mówię już o nas – pluskwach. Osiągnęliśmy już swoje dawno: kiedy pojawiły się na świecie te bukłaki z mieszanką pokarmową... Rozumiecie mnie, Fiodor? Każde plemię ma swoje marzenia. Nie należy się chwalić osiągnięciami przed swoimi sąsiadami na planecie. Ryzykujecie wpadnięcie w dość głupie położenie. Uznają was za głupców ci, którym wasze marzenia są obce, a za żalosne gaduły ci, którzy swoje marzenia już dawno zrealizowali.

– Nic wam na to nie mogę odpowiedzieć, Gadaczu – odrzekł Fiedia – ale muszę przyznać, że nie jest mi przyjemnie was słuchać. Po pierwsze, nie lubię, gdy chytrą kazuistyką obala się oczywiste fakty, a po drugie, jestem mimo wszystko człowiekiem.

– Człowiekiem śniegu. Brakującym ogniwem. Nic na to nie poradzicie. Jesteście nawet, jeśli chcecie wiedzieć, niejadalni. A czemuż to nie zaprzeczą mi przedstawiciele tak zwanego gatunku *homo sapiens*? Czemu nie bronią honoru

swego gatunku, swojej klasy, swojego rodzaju? Wyjaśnię: bo nie mają nic do powiedzenia.

Uważny zazwyczaj Edik puścił mimo uszu to wyzwanie. Sam też miałbym coś do powiedzenia, bo ten gaduła doprowadzał mnie do białej gorączki, ale powstrzymałem się. Wiedziałem, że Fiodor Simeonowicz patrzy w tej chwili w magiczny kryształ i widzi wszystko.

– Pozwólcie mnie – powiedział Fiedia. – Tak, jestem człowiekiem śniegu. Owszem, przyjęte jest, że można nas obrażać. Obrażają nas nawet ludzie, nasi najbliżsi krewni, nasza nadzieja, symbol naszej wiary w przyszłość... Nie, nie, pozwólcie Ediku, że powiem, co myślę. Obrażają nas najciemniejsze i najbardziej zacofane warstwy ludzkiego rodu, nadając nam nikczemne przezwisko „yeti”, które, jak wiadomo, współbrzmi ze swiftowskim „Jahu” i przezwisko „gołub jawan”, które oznacza albo „ogromna małpa”, albo „szkaradny człowiek śniegu”. Obrażają nas także najwybitniejsi przedstawiciele ludzkości, określając nas jako „antropoidy”, „człękokszałtni” i innymi mądrze brzmiącymi, ale hańbiącymi nas przezwiskami. Być może istotnie jesteśmy godni pewnego lekceważenia. Powoli rozumujemy, jesteśmy zupełnie niewybredni, powoli dążymy ku lepszemu, umysł nasz jest jeszcze w letargu. Ale wierzę, wiem, że to Ludzki Umysł, znajdujący największą satysfakcję w przekształcaniu przyrody, początkowo otaczającej, a w perspektywie – swojej własnej. Mimo wszystko jesteście, Gadaczu, pasożytem. Wybaczcie, ale używam tego terminu w sensie naukowym. Nie chcę was obrażać, ale jesteście pasożytem i nie rozumiecie, jaka to satysfakcja przekształcać przyrodę. I jaką to ma perspektywę! – Przyroda jest przecież nieskończona i można ją przekształcać nieskończenie długo. Oto dlaczego człowieka nazywa się królem przyrody. On nie tylko bada przyrodę, nie tylko znajduje ogromną, lecz pasywną satysfakcję w jedności z przyrodą, on przekształca przyrodę, kształtuje ją wedle własnych potrzeb, wedle swojego życzenia, a potem będzie ją kształtować wedle własnej fantazji.

– No tak – powiedział Pluskwa. – A tymczasem człowiek obejmuje niejakiego Fiodora za szerokie, owłosione ramiona, wyprowadza na estradę i proponuje niejakiemu Fiodorowi przedstawienie procesu ucłowieczenia małpy wobec tłumu obywateli, pogryzających pestki... Uwaga! – krzyknął nagle. – Dziś w klubie odbędzie się prelekcja kandydata nauk Wiabujewa-Frankensteina pod tytułem „Darwinizm kontra religia”, z naoczną obserwacją procesu ucłowieczenia małpy! Akt pierwszy: „Małpa”. Fiodor siedzi pod stołem prelegenta i z wprawą iska się pod pachami, wodząc smutnymi oczami na wszystkie strony. Akt drugi: „Człowiek-małpa”. Fiodor, trzymając w dłoniach kij od szczotki, łązi po estradzie szukając, kogo by zabić. Akt trzeci: „Małpolud”. Fiodor pod kontrolą i przewodnictwem strażaka rozpala na żelaznej blasze niewielkie ognisko, okazując przy tym jednocześnie przerażenie i zachwyt. Akt czwarty: „Człowieka stworzyła praca”. Fiodor z zepsutym kilofem jako pierwotny kowal. Akt piąty: „Apoteoza”. Fiodor siada za pianinem i gra „Marsza tureckiego”... Początek wykładu o szóstej, a po prelekcji nowy zagraniczny film „Ostatni brzeg” oraz tańce!

Nadzwyczaj pochlebiony Fiedia uśmiechnął się nieśmiało.

– Oczywiście, Gadaczu – powiedział tkliwie. – Wiedziałem, że nie ma między nami istotnej różnicy zdań. Właśnie takim sposobem, powolutku, po troszeńku, rozum zaczyna tworzyć swoje pożyteczne cuda, obiecując w przyszłości Archimedesów, Newtonów i Einsteinów. Tylko niepotrzebnie przeceniacie moją rolę w tym kulturowym przedsięwzięciu, chociaż domyślał się, że chcecie mi tym zrobić po prostu przyjemność.

Pluskwa spojrział na niego szalonym wzrokiem, a ja roześmiałem się złośliwie. Fiedia się zaniepokoił.

– Czy powiedziałem coś nie tak? – zapytał.

– Zuch – odrzekłem. – Daliście mu taką odpowiedź, że zupełnie skapcaniał. Widzicie, z bezsilności zaczął żreć fa-szerowane pomidory.

– Tak. Gadaczu, słucham was z zainteresowaniem – powiedział Edik. – Oczywiście wcale nie zamierzam oponować, ponieważ przewiduję, że czeka nas jeszcze wiele dyskusji na niezmiernie poważne tematy. Chciałem tylko stwierdzić, że w waszych rozważaniach zbyt wiele jest opinii ludzkich, a zbyt mało spostrzeżeń oryginalnych, opartych na psychologii *cimex lectularia*.

– Dobrze, dobrze – wykrzyknął z rozdrażnieniem Pluskwa. – Wszystko to bardzo ładnie, może jednak chociaż jeden przedstawiciel *homo sapiens* zniży się do prostej odpowiedzi na rozważania, które dane mi było dziś wypowiedzieć? A może nie ma co odpowiadać? Czy człowiek rozumny ma do rozumu lepszy stosunek niż okularnik do tego szeroko rozpowszechnionego optycznego urządzenia? Czy nie posiada argumentów dostępnych pojmowaniu stworzeń, które są w wyłącznym władaniu prymitywnych instynktów?

W tym momencie nie wytrzymałem. Miałem argument dostępny pojmowaniu i z przyjemnością z niego skorzystałem. Zademonstrowałem Gadaczowi swój palec wskazujący i wykonałem nim ruch, jakbym ścierał ze stołu zbędną kroplę.

– Bardzo dowcipnie – powiedział Pluskwa, blednąc. – To zaiste wyższy poziom inteligencji...

Fiedia poprosił nieśmiało, by wyjaśniono mu sens pantomimy, jednakże Gadacz oznajmił, że to wszystko bzdury.

– Już mi to zbrzydło – oświadczył przesadnie głośno, rozglądając się wyniośle. – Chodźmy stąd.

Zapłąciłem i wyszliśmy. Na ulicy przystanęliśmy, aby zastanowić się, co robić dalej. Edik zaproponował, by pójść do hotelu i spróbować jakoś się urządzać, ale Fiedia powiedział, że w Tmuskorpionie hotel to nie problem. W całym hotelu mieszka tylko Trójka, a pozostałe pokoje są wolne. Spojrzałem na skopanego Pluskwę, poczułem wyrzuty sumienia i zaproponowałem spacer przy księżycu nad brzegami Skorpionki. Fiedia poparł mnie, Pluskwa natomiast zaprotestował. Czuję się zmęczony, ma dość tych niekończących się rozmów, poza

tym jest głodny i najlepiej będzie, jeśli pójdzie do kina. Zrobiło nam się go żal. Był tak wstrząśnięty i zaszokowany moim gestem, może istotnie odrobinę nietaktownym, że przystaliśmy na jego propozycję. W tym momencie spod budki z piwem wyniosło na nas staruszka Edelwejsa. W jednej ręce trzymał kufel piwa, a w drugiej swój agregat. Bełkocząc po pijacku wyraził swoje oddanie nauce i mnie osobiście, zażądał też pokrycia kosztów pobytu w specjalnych warunkach i pieniędzy na nadzwyczajne wydatki związane z jakimś demontażem. Dałem mu rubla i staruszek popędził z powrotem w kierunku budki.

W drodze do kina Pluskwa nie mógł się w żaden sposób uspokoić. Przechwalał się, zaczepiał przechodniów, błyskał aforyzmami i paradoksami, ale widać było, że nie może zaznać spokoju. Aby zwrócić Pluskwie równowagę duchową, Edik opowiadał mu, jaki to gigantyczny wkład może on – Pluskwa wnieść w rozwój teorii szczęścia linearnego, zrobił aluzję do międzynarodowej sławy i wspomniał o nieuchronności długoterminowych delegacji za granicą, w tym także do krajów egzotycznych. Duchowa równowaga wróciła Pluskwie w zupełności. Rozpogodził się, odprężył, i jak tylko zgaszono na sali światła, polazł gryźć widzów, tak że z Edikiem straciliśmy całą radość z pobytu w kinie. Edik bał się, że Gada-cza po cichu rozgniotą, a ja oczekiwałem skandalu. Prócz tego w sali było duszno, a film wywoływał po prostu mdłości i westchnęliśmy z ulgą, gdy wszystko się skończyło.

Świecił księżyc, od Skorpionki wiało chłodem. Fiedia przeprosił nas i powiedział, że jest zmuszony iść już spać. W dole, pod skarpa, Skorpionka w swoich kryształowych nurtach niosła trujące ścieki. Po przeciwnej stronie w księżycowym świetle rozciągały się szeroko podmokłe łąki. Na horyzoncie ciemniał postrzępiony skraj odległego lasu. Nad jakimiś mrocznymi, na wpół zburzonymi wieżami wykonywał ewolucje latający spodek.

– Co to za gruz? – zapytał Edik.

– To Twierdza Sołowina – odpowiedział Fiedia.

– Niemożliwe! – zdumiał się Edik. – Ta sama? Spod Mur-roma?

– Tak. Dwunasty wiek.

– A dlaczego są tylko dwie wieże? – zapytał Edik.

Fiedia wyjaśnił, że do czasu oblężenia było ich cztery: Kikimora, Ałkałka, Pluń-Jadowita i Ugołownica. Godzilla wypalił ścianę między Ałkałką a Ugołownicą, wdarł się na podwórzec i wszedł obrońcom na tyły. Był wprawdzie najsilniejszym, ale i najgłupszym ze wszystkich czterogłowych smoków. Nie miał pojęcia o taktyce i nie chciał się nawet na tym znać i dlatego, zamiast skoncentrowanymi siłami burzyć jedną wieżę po drugiej, porwał się jednocześnie na wszystkie cztery. W twierdzy siedziało plugastwo doświadczone i odważne. Bracia Rozbójnicy Sołowiej Odichmantiewicz i Lagwa Odichmantiewicz, wraz z nimi Licho Jednookie, a także sprzyjający im zły duch Konczar o przezwisku Pysz. I Godzilla dostał za swoją głupotę i chciwość. Początkowo udało mu się pokonać Konczara, złożonego tego dnia wirusową grypą, i do Pluń-Jadowitej wdarli się Godzilla i szubrawiec Wampir Beowulf, który w tym momencie przerwał działania bojowe i zajął się pijaństwem i grabieżą. Było to jednak w całej kampanii pierwsze i jedyne zwycięstwo Godzilli. Sołowiej Odichmantiewicz walczył wściekle i z zapalem na progu Ałkałki, nie cofając się na krok. Lagwa Odichmantiewicz na skutek niedoświadczenia wynikającego z niepełnoletności oddał pierwsze piętro Kikimory, ale na drugim umocnił się, rozkołysał wieżę i zwałił ją wraz ze sobą na atakującą go głowę przeciwnika w tym samym momencie, kiedy sprytny i zimnokrwiste Licho Jednookie zwabiło prawoskrzydłą głowę w saletrzaną piwnicę Ugołownicy i wysadziło w powietrze z całą jej zawartością. Pozbawiony połowy głów i bez tego ograniczony Godzilla zgłupiał ostatecznie. Miotał się po twierdzy, miażdżąc swoich i obcych, aż wreszcie wierzgając rzucił się do ucieczki. Na tym bój się zakończył. Pijanego Beowulfa Sołowiej Odichmantiewicz wykończył uderzeniem akustycznym, po czym sam zginął od licznych oparzeń. Ocalałe

wiedźmy, diabły leśne, wodniki, alkałki, kikimory i duchy domowe wytlukły zdemoralizowane wilkołaki, trolle, gnomy, satyry, najady i driady, które, pozbawione od tego momentu dowództwa, porozłaziły się w nieładzie po okolicznych lasach. Jeśli zaś chodzi o durnia Godzillę, poniosło go na wielkie bagna nazywane od tego czasu Krowią Topielą, gdzie zdechł na gazową gangrenę.

– Ciekawe – powiedział Edik, wpatrując się w ciemne, kosmate bryły Ałkałki i Pluń-Jadowitej. – A można tam wejść?

– Można – odrzekł Fiedia. – Za piąta.

Spacer wypadł na medal. Fiedia objaśnił nam budowę wszechświata i przy sposobności okazało się, że widzi gołym okiem obręcz Saturna i Czarną Plamę na Jupiterze. Zawistny Pluskwa udawał zapalczywie, że to wszystko nonsens, bowiem w rzeczy samej Wszechświat posiada formę sprężynowego materaca. Cały czas kręcił się wokół nieśmiały Kuźma, pterodaktyl pospolity. Właściwie, niezbyt dokładnie obejrzeliliśmy go po ciemku. Tupał drobnym kroczeniem gdzieś z przodu, z cichym kwakaniem łamał krzaki i od czasu do czasu podfrwał, zakrywając rozpostartymi skrzydłami księżyc. Wołaliśmy go obiecując smakołyki i przyjaźń, ale nie zdecydował się na zbliżenie.

W Kolonii poznaliśmy też przybysza Konstantyna. Konstantyn miał ogromnego pecha. Jego latający spodek wylądował tu jakiś rok temu. Statek uległ poważnemu uszkodzeniu i ochronne pole siłowe, które wytwarzało się automatycznie w momencie lądowania, nie wyniosło Konstantyna wzwyż. Pole to było skonstruowane tak, że nie przepuszczało żadnych obcych ciał. Sam Konstantyn wraz ze swoim ubraniem i z elementami silnika potrafił bez żadnej trudności przechodzić w obie strony poprzez bżową błonkę, ale rodzina polnych myszy, która przypadkowo znalazła się na terenie lądowiska, pozostała tam i Konstantyn zmuszony był karmić je swoimi ubogimi zapasami, ponieważ nawet we własnym żołądku nie mógł przenieść ziemskiego pożywienia pod ochronny klosz. Pod kloszem znalazły się też zapomniane przez kogoś w parkowej alei

miękkie pantofle i było to jedyne z ziemskich dóbr, z których Konstantyn mógł mieć jakikolwiek pożytek. Prócz pantofli i myszy w ochronnym polu znalazły się dwa krzaki wilczej jagody, kawałek cudacznej ławki parkowej z powycinanymi wszystkimi możliwymi napisami i ćwierć akra szarej, nigdy nie wysychającej ziemi.

Sprawy Konstantyna wyglądały źle. Jego statek nie dawał się naprawić. W miejscowych warsztatach nie było ani odpowiednich części zapasowych, ani specjalnego oprzyrządowania. To i owo można by było zdobyć w światowych centralach naukowych, ale konieczne było wstawienictwo Trójki i Konstantyn już od wielu miesięcy z niecierpliwością oczekiwał wezwania. Pokładał pewne nadzieje w pomocy Ziemian, liczył, że może uda mu się chociaż zdjąć to przekłete pole ochronne i sprowadzić na statek jakiegoś wybitnego naukowca. W ogóle jednak był w nastroju raczej pesymistycznym, przygotowany na to, że ziemska technika będzie mogła mu pomóc dopiero za około dwieście lat.

Świecący jak gigantyczna lampa gazowa latający spodek Konstantyna stał w pobliżu drogi. Spod spodka sterczały obute w siedmiomilowe pantofle numer czterdziesty czwarty nogi Konstantyna, opędzające się od mysiej rodziny, natrętnie żądającej kolacji. Fiedia zapukał w pole ochronne i Konstantyn na nasz widok wysunął się spod spodka. Krzyknął na myszy i podszedł do nas. Wspaniałe pantofle pozostały oczywiście w środku i myszy natychmiast zrobiły sobie w nich schronienie. Przedstawiliśmy się, wyraziliśmy współczucie i zapytaliśmy, co słyhać. Konstantyn poinformował nas dumnie, że chyba zaczęło mu się szczęścić i wyliczył dwadzieścia nazw nieznanych nam urzędzeń, które były mu niezbędne. Okazał się być istotą towarzyską, inteligentną i przyjazną nam. Może stęsknił się po prostu za rozmówcami. Na wszystkie nasze pytania udzielał ochoczo odpowiedzi. Wyglądał dość nieszczerliwie, więc powiedzieliśmy mu, że to szkodliwe tak dużo pracować, i że pora już spać. Około dwudziestu minut tłumaczyliśmy mu, co to znaczy „spać”, wreszcie Konstantyn orzekł,

że to go nie interesuje i lepiej, jeśli nie będzie się tym zajmować. Prócz tego zbliżała się pora karmienia myszy. Uścisnął nam dłonie i znów wlaźł pod spodek. Pożegnaliśmy się z Fiedią i Kostią i ruszyliśmy do hotelu. Godzina było już późna, miasto zasypiało i tylko gdzieś w oddali przygrywała harmoszka i czyste dziewczęce głosy opowiadały:

*Mam amanta, mówię mu
Trójkiemu, patrząc w oczy
Pocałunki na nic tu
Lecz rozum nas jednoczy.*

Sprawa nr 72

Przybysz Konstantyn

Ranne słońce wyrzało zza horyzontu i ciepłym potokiem wdarło się w otwarte okna sali posiedzeń, gdy na progu stanął kamiennolicy Ławr Fiedotowicz. Natychmiast polecił zasłonić okna. „Społeczeństwu to niepotrzebne” – wyjaśnił. W ślad za nim pojawił się Chlebowwodow, popychający przed sobą Wybiegałkę. Wybiegałko, wymachując teczką, perorował coś gorąco po francusku, a Chlebowwodow przygadywał: „Dobrze, tylko spokojnie, rozbrykał się...”. Ledwie komendant zaciągnął zasłony, na progu stanął Farfurkis. Żuł coś i ocierał usta. Niewyraźnie trajkocząc, przeprosił za spóźnienie i przełknął wszystko, co miał w ustach.

– Protestuję! – wrzasnął. – Czyście zwariowali, towarzyszu Zubo! Natychmiast odsłonić okna! Co za zwyczaj odgraczać się i rzucać cień?

Powstała wyjątkowo przykra atmosfera. Sytuacja rozwikływała się, Farfurkisa ponizano, zapędzono w kozi róg, mieszano z błotem i wieszano na nim psy, a Wybiegałko z wyrzutem kiwał głową i dwuznacznie spoglądał w moją stronę, jakby mówiąc: „Oto niemoralności godne płody!”. Podeptanego, rozszarpanego, storturowanego i wymłóconego Farfurkisa,

puszczono łaskawie, by dognił na swoim miejscu. Karcący odwijali zakasane rękawy, wydłubywali strzępy skóry spod paznokci, lizali pokrwawione pięści i porykując mimo woli od czasu do czasu, rozsiedli się za stołem i oznajmili swoją gotowość do rozpoczęcia porannego posiedzenia.

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ukrzyżowane zwłoki. – Następnym! Referujcie, towarzyszu Zubo.

Komendant wygiętymi w szpony palcami ścisnął otwartą teczkę. Ostatni raz nabiegłymi krwią oczami rzucił zza papierów spojrzenie na padłego wroga. Ostatni raz wpił się ciężko tylnymi łapami w ziemię i zabulgotało mu w gardle. Wciągnął szeroko rozdętymi nozdrzami słodki aromat zgnilizny i uspokoił się.

– Sprawa numer siedemdziesiąt dwa – zajazgotał. – Konstantyn Konstantynowicz Konstantynow, dwieście trzydzieści przed naszą erą, miasto Konstantynow, planeta Konstantyna, gwiazda Antares...

– Zaraz, zaraz! – przerwał mu Chlebowwodow. – Co wy nam tu czytacie? Czy wy nam tu powieść czytacie? A może wodewil? Ankiętę nam czytasz, a wychodzi wodewil.

Ławr Fiedotowicz uniósł lornetkę i spojrzał na komendanta. Ten zapadł się niemal pod ziemię.

– Pamiętam, tego, w Syzranii – kontynuował Chlebowwodow – zrobili mnie kierownikiem kursów podnoszenia kwalifikacji średniego personelu i tam też był taki jeden. Ulicy nie chciał zmiatać... Tylko nie w Syzranii, o ile sobie przypominam, a w Saratowie... No tak, jasne, w Saratowie! Najpierw organizowałem szkołę mistrzów młynarskich, a potem, znaczy się, skierowali mnie na te kursy... Tak, w Saratowie, w pięćdziesiątym drugim, zimą. Mrozy, pamiętam, jak w Syberii... Nie – powiedział z ubolewaniem – nie, to nie było w Saratowie. To było na Syberii, ale w jakim mieście... czekajcie, coś mi baśka nie pracuje. Jeszcze wczoraj pamiętałem... Ech, dobrze by tak w tym mieście...

Zamilkł i rozdziawił usta z wysiłku. Ławr Fiedotowicz odczekał krótką chwilę i zapytał, czy są pytania do referenta.

Dowiedział się, że nie, i polecił Chlebowwodowowi kontynuować.

– Ławrze Fiedotowiczu – jęknął żałośnie Chlebowwodow. – Zapomniałem, rozumiecie, zapomniałem. Zapomniałem i kwita. Niech on dalej referuje, a ja tymczasem przypomnę sobie... Tylko niech z sensem czyta, niech punkty wymienia, a nie coś drobi, bo to ani rąk, ani nóg nie ma...

– Referujcie dalej, towarzyszu Zubo – powiedział Ławra Fiedotowicz.

– Punkt pierwszy – odczytał lękliwie komendant. – Narodowość...

Farfurkis pozwolił sobie cichutko zaszemrać i natychmiast zamarł ze strachu. Jednakże Chlebowwodow złowił ten gest.

– Od początku! – rozkazał komendantowi. – Od początku! Jeszcze raz czytajcie!

– Punkt pierwszy – powiedział komendant. – Nazwisko...

Komendant czytał wszystko od początku, a ja zacząłem oglądać remoralizator. Płaskie, błyszczące pudełko z szybkami, podobne było do dziecinnego samochodziku. Edik obchodził się z tym urządzeniem zadziwiająco sprawnie. Ja bym tak nie potrafił. Zagapiłem się.

– Cherson – wrzasnął nagle Chlebowwodow. – W Chersoniu to było, ot co... A ty wal dalej – powiedział do komendanta. – Tak to sobie przypominałem... – Przysunął się do Ławra Fiedotowicza i krztusząc się ze śmiechu zaczął mu coś szeptać do ucha. Rysy twarzy towarzysza Winiukowa zaczęły objawiać tendencje do odkamienienia, tak że gwoli demokracji zmuszony był skryć się za swą szeroką dłoń.

– Punkt szósty – niezdecydowanie czytał komendant. – Wykształcenie: wyższe syn... kry... kre... kretystyczne.

– Jakie? Jakie wykształcenie?

– Synkretystyczne – powtórzył komendant jednym tchem.

– Aha – powiedział Chlebowwodow i popatrzył na Ławra Fiedotowicza.

– To dobrze – dobitnie rzekł Ławra Fiedotowicz. – Ceniemy samokrytykę. – Referujcie dalej, towarzyszu Zubo.

– Punkt siódmy. Znajomość języków obcych: wszystkie bez słownika.

– Jak, jak? – powiedział Chlebowwodow.

– Wszystkie – powtórzył komendant. – Bez słownika.

– Ładna samokrytyka – powiedział Chlebowwodow. – W porządku, sprawdzimy to.

– Punkt ósmy. Zawód i obecne miejsce pracy: czytelnik poezji, amfibrachista, przebywa na krótkoterminowym urlopie. Punkt siódmy...

– Czekajcie – powiedział Chlebowwodow. – Gdzie on pracuje?

– W chwili obecnej jest na urlopie – wyjaśnił komendant. – Krótkoterminowym.

– To i bez was rozumiem – odparł Chlebowwodow – pytam, jaka jest jego specjalność.

– Czytelnik... – powiedział komendant, podnosząc teczkę do oczu. – Wiersze widocznie czyta.

Chlebowwodow uderzył pięścią w stół.

– Ja ci nie mówię, że jestem głuchy! – krzyknął. – Co on czyta, to już słyszałem. Czyta, to niech sobie czyta w czasie wolnym. Specjalność, pytam! Jako kto pracuje? Gdzie?

Wybiegało milczał, więc nie wytrzymałem.

– Jego specjalność to czytanie poezji. Specjalizuje się w amfibrachu.

Chlebowwodow obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Nie – powiedział. – Amfibrach – to zrozumiałem. Amfibrach, to ten... tego... Czego to ja się chciałem dowiedzieć? Chcę wiedzieć, za co mu pensję płacą.

– U nich pensji jako takiej nie ma – wyjaśniłem.

– A! – ucieszył się Chlebowwodow. – Bezrobotny! – Ale w tym momencie znów się nastroszył – Nie, nie pasuje!... Koniec z końcem się u was nie wiąże. Pensji nie ma, a urlop jest. Coś wy tu wykręcacie kota ogonem...

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Jest pytanie do referenta oraz konsultanta naukowego. Zawód sprawy numer siedemdziesiąt dwa.

– Czytelnik poezji! – szybko odparł Wybiegałło. – I na dodek... tego... amfibrachista.

– Miejsce pracy w chwili obecnej – nastawał Ławr Fiedotowicz.

– Przebywa na krótkoterminowym urlopie. Odpoczywa, znaczy się, krótkoterminowo.

– Ławr Fiedotowicz przeniósł wzrok na Chlebowwodowa, nie odwracając głowy.

– Pytania jeszcze są? – zapytał.

Chlebowwodow zaczął się smętnie wiercić. Gołym okiem było widać, jak dumna cecha męstwa w walce o solidarność ze zdaniem kierownictwa bije się w nim z mniej wzniosłym uczuciem obowiązku obywatelskiego. W końcu zwyciężył obywatelski obowiązek, choć z zauważalnym dla niego uszczerbkiem.

– Co to ja chciałem powiedzieć, Ławrze Fiedotowiczu – rzekł przymilnie Chlebowwodow. – Przecież, ot co powinienem powiedzieć! Amfibrachista – to całkiem zrozumiałe. Amfibrach to, ten... tego... I w kwestii poezji też jasne. Puszkina, tego, Michałkowa, Korniejczuk... A teraz czytelnik. Brak w rejestrze takiego zawodu! Chodzi o to, że znaczy się wierszyki czytuję, a mnie za to dają świadczenia, dają mi urlop... ot co chciałem wyjaśnić.

Ławr Fiedotowicz podniósł lornetkę i wpatrzył się w Wybiegałkę. – Wysłuchamy zdania konsultanta – ogłosił.

Wybiegałło podniósł się.

– Tego... – powiedział i pogładził brodę. – Towarzysz Chlebowwodow słusznie akcentuje tu problem i prawidłowo rozkłada akcenty. Społeczeństwo kocha wiersze – se la men sur le kior ke że wu le di. Ale czy wszystkie wiersze są potrzebne społeczeństwu? Że wu demand anpio, czy wszystkie? Wszyscy wiemy, że zdecydowanie nie wszystkie. Dlatego powinniśmy surowo przestrzegać... tego... określonego, znaczy się, kursu, nie tracić z oczu latarni morskiej i tego... le win etire ili fo le buar. Moje zdanie jest takie: ede-tua e dio tедера. Zaproponowałbym przy tym, abyśmy wysłuchali jeszcze

obecnego tu przedstawiciela z dołu, towarzysza Priwałowa. Wezwać go, że tak powiem, w charakterze świadka...

Ławr Fiedotowicz przeniósł spojrzenie na mnie.

– No cóż, zaczynaj – powiedział Chlebowwodow. – Wszystko jedno, bez przerwy się wrywa, nie może na miejscu usiedzieć, to niech wyjaśnia, jak taki cwany...

– Wuala – z goryczą powiedział Wybiegałło – ledukasjon kon donno żenbom daprezan!

– Mówię przecież, zaczynaj – powtórzył Chlebowwodow.

– Jest u nich bardzo wielu poetów – wyjaśniłem. – Wszyscy piszą wiersze i każdy poeta, rzecz jasna, pragnie mieć swojego czytelnika. Czytelnik z kolei – istota niezorganizowana i tej prostej rzeczy nie rozumie, z przyjemnością czyta dobre wiersze, a nawet uczy się ich na pamięć, a złych nie chce. Tworzy się sytuacja niesprawiedliwości, nierówności, a ponieważ mieszkańcy są tam wyjątkowo delikatni i dążą do tego, by wszystkim było dobrze, stworzony został specjalny zawód – czytelnik. Jedni specjalizują się w jambie, drudzy w trocheju, a Konstantyn Konstantynowicz jest wybitnym specjalistą w dziedzinie amfibrachu. W chwili obecnej przyswaja sobie wiersz aleksandryjski, zdobywa drugą specjalność. Zajęcie to jest szkodliwe dla zdrowia i czytelnikom zaleca się nie tylko bardziej kaloryczne odżywianie, ale i częste krótkoterminowe urlopy.

– Wszystko to rozumiem! – wrzasnął przenikliwie Chlebowwodow. – Jamby, aleksandryty... Jednego tylko nie rozumiem: za co mu pieniądze płacą? No, siedzi sobie, no, czyta... Nie szkodzi, to rozumiem! Ale czytanie to sprawa intymna. Jak to sprawdzić: czyta, czy kima sobie? Pamiętam, zarządzałem kiedyś wydziałem w inspektoracie do spraw kwarrantanny i ochrony roślin. Miałem takiego jednego... Siedzi sobie na zebraniu, zdawałoby się, że słucha, nawet coś zapisuje w notesie, a faktycznie – śpi, łajdak. Teraz to wielu nauczyło się spać z otwartymi oczami... Tak więc, nie rozumiem: po naszymu to? A może kłamie? Nie powinno być zajęcia, czy śpi? żeby kontrola była niemożliwa – pracuje facet, czy śpi?

– To wszystko nie jest takie proste – wtrącił się Edik, oderwawszy się od strojenia remoralizatora. – Przecież on nie tylko czyta. Przysyłają mu wszystkie wiersze napisane amfibrachem. Musi wszystkie przeczytać, zrozumieć, znaleźć w nich źródło przyjemności, polubić je i rzecz jasna, wynaleźć niedostatki. O tych swoich uczuciach i przemysłeniach jest zobowiązany regularnie pisać autorom, występować na wieczorkach autorskich i konferencjach czytelnicy, i występować tak, żeby autorzy byli zadowoleni, żeby czuli swoją niezastąpioność... To bardzo, bardzo ciężki zawód – zakończył Edik. – Konstantyn Konstantynowicz to prawdziwy bohater pracy.

– Tak – powiedział Chlebowwodow. – Teraz rozumiem. Pożyteczny zawód. I system mi się podoba. Dobry system, sprawiedliwy.

– Referujcie, towarzyszu Zubo – rzekł Ławr Fiedotowicz. Komendant znów podniósł teczkę do oczu.

– Punkt dziewiąty. Czy był za granicą; był. W związku z defektem silnika cztery godziny przebywał na wyspie Rapa-Nui.

Farfurkis zapiszczał coś nieartykułowanego i Chlebowwodow natychmiast się wtrącił.

– Czyje to obecnie terytorium? – zwrócił się do Wybiegałły.

Profesor Wybiegałło uśmiechnął się dobrodusznie i szerokim gestem odesłał go do mnie.

– Oddaję głos młodzieży – powiedział.

– Terytorium Chile – wyjaśniłem.

– Chile. Chile – wymamrotał Chlebowwodow, oglądając się z trwogą na Ławra Fiedotowicza. Ławr Fiedotowicz z zimną krwią palił papierosa. – Niech będzie Chile, dobra – zdecydował się Chlebowwodow. – I tylko cztery godziny... Dobra. I co dalej?

– Protestuję! – z głupią odwagą wyszeptał Farfurkis, ale komendant czytał dalej.

– Punkt dziewiąty. Istota niewyjaśnioności: rozumne stworzenie z planety Antares. Lotnik statku kosmicznego pod nazwą latający spodek...

Ławr Fiedotowicz nie protestował. Chlebowwodow patrzył na niego aprobująco i kiwał głową, więc komendant kontynuował.

– Punkt jedenasty. Dane o najbliższych krewnych... Tu jest długi spis.

– Czytajcie, czytajcie – powiedział Chlebowwodow.

– Siedemset dziewięćdziesiąt trzy osoby – uprzedził komendant i westchnął.

– Rodzice: – A, Be, Ce, De, E, Gie, Ha...

– A tobie co? Czekaj... Daj spokój... – powiedział Chlebowwodow, który ze zdumienia stracił dar grzeczności. – Ty co, w szkole jesteś? My dla ciebie jesteśmy dzieci czy jak?

– Jak napisane, tak czytam – odgryzł się komendant i kontynuował podniósłszy głos: I, Jot, Ka, eL...

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Jest pytanie do referenta: ojciec sprawy numer siedemdziesiąt dwa. Nazwisko, imię, imię ojca.

– Chwileczkę – wtrąciłem się. – Konstantyn Konstantynow ma dziewięćdziesięciu czterech rodziców pięciu różnych płci, dziewięćdziesięciu sześciu braci czterech różnych płci, dwieście siedmioro dzieci pięciu różnych płci i trzysta dziewięćdziesięciu sześciu kuzynów pięciu różnych płci.

Efekt tych słów przeszedł wszystkie moje oczekiwania. Ławr Fiedotowicz z roztargnienia wziął lornetkę i podniósł ją do ust. Chlebowwodow bez przerwy się oblizywał. Farfurkis zawzięcie kartkował zapisany notes.

Z Wybiegałą nie było co wiązać nadziei. Przygotowałem się do generalnego szturmu – pogłębiłem okopy, zaminowałem pola przeciwczołgowe, dozbrajałem siły odwodowe. Prochownie były pełne amunicji, piechota otrzymała po szklance wódki, artylerzyści zastygli przy działach. Przeciągała się cisza, pęczniała burza, nasycala się elektrycznością i moja dłoń już spoczywała na słuchawce telefonu – byłem gotów wydać rozkaz rozpoczęcia uprzedzającego uderzenia atomowego, jednakże całe to oczekiwanie ryku, huk, trzasku, skończyło się psyknięciem. Chlebowwodow wyszczerzył zęby, pochylił

się do ucha Ławra Fiedotowicza i zaczął coś szeptać, biegnąc zaropiałymi oczkami po rogach sali. Ławr Fiedotowicz opuścił zaślinioną lornetkę i zasłonił się dłonią.

– Referujcie dalej, towarzyszu Zubo – rzekł drżącym głosem.

Komendant ochoczo odłożył spis krewnych i wrócił do czytania.

– Punkt dwunasty. Miejsce stałego zamieszkania: Galaktyka, gwiazda: Antares, planeta: Konstantyna, państwo Konstancja, miasto: Konstantynow, sygnał wywoławczy 457 łamane przez 14-9. Wszystko.

– Protestuję – powiedział Farfurkis mocniejszym głosem.

Ławr Fiedotowicz spojrział na niego łaskawie.

Banicja była zakończona i Farfurkis miał w oczach łzy szczęścia.

– Ja protestuję! – wydarł się. – W kwestii wieku dopuszczono się jawnego nonsensu. W ankiecie wymieniony jest rok urodzenia – dwieście trzynasty przed naszą erą. Gdyby tak było, to sprawa numer siedemdziesiąt dwa miałyby teraz więcej niż dwa tysiące lat, co o dwa tysiące lat przewyższa maksymalny, znany nauce wiek ludzki. Żądam sprecyzowania daty i ukarania winnego.

– A może to góral, skąd wiecie? – zapytał żarliwie i z powagą Chlebowwodow.

– Ależ pozwólcie! – zawołał Farfurkis. – Nawet górale...

– Nie pozwolę – powiedział Chlebowwodow. – Nie pozwolę na obniżanie osiągnięć naszych sławnych górali! Jeśli chcecie wiedzieć, to maksymalny wiek naszych górali nie ma granic! – tu spojrział na Ławra Fiedotowicza z wyrazem zwyczajstwa w oczach.

– Społeczeństwo... – zauważył Ławr Fiedotowicz. – Naród jest wieczny. Przybysze przychodzą i odchodzą, a nasz naród, potężny naród, przetrwa wieki.

Farfurkis i Chlebowwodow zamyślili się, oceniając, na czyją korzyść wypowiedział się przewodniczący. Jeden i drugi wołał nie ryzykować. Jeden był na fali i nie chciał przez jakiegoś parszywego przybysza z niej zlecieć. Drugi był bardzo

nisko, wisiał nad przepaścią, ale spuszczone mu linkę ratunkową.

– To wszystko, towarzyszu Zubo? – powiedział Ławr Fiedotowicz. – Pytania? Brak pytań? Stawiam wniosek, by wezwać sprawę imieniem Konstantyn Konstantynowicz. Innych wniosków brak? Niech sprawa wejdzie.

Komendant zacisnął usta, wyciągnął z kieszeni gałkę z masy perłowej i zmrużywszy oczy mocno ścisnął ją w palcach. Rozległ się dźwięk odkorkowywanej butelki i obok stolika demonstracyjnego pojawił się Konstantyn. Widocznie wezwanie zaskoczyło go przy pracy: był w kombinezonie zachlapanym farbą fluorescencyjną, jego przednie dłonie osłaniały robocze, metalowe rękawice robocze, a tylne starannie wycierał o plecy. We wszystkich jego czterech oczach malowało się zafrapowanie i skupienie. W sali rozchodził się zapach Wielkiej Chemii.

– Dzień dobry – powiedział radośnie Konstantyn, gdy zrozumiał wreszcie, gdzie się znalazł. – Wreszcie mnie wezwaliście. Sprawa moja jest dość błaha i wstyd was nawet niepokoić. Niestety, znalazłem się w sytuacji bez wyjścia i zmuszony jestem prosić was o pomoc. Żeby nie zajmować waszego cennego czasu, od razu przejdę do rzeczy. – Zaczął zaginać palce prawej przedniej dłoni. – Potrzebuję wiertarkę, ale najwyższej mocy. Palnik plazmowy, wiem, że już takie macie. Dwa inkubatory na tysiąc jaj każdy. Na początek musi mi to wystarczyć, choć dobrze byłoby mieć jeszcze wykwalifikowanego inżyniera, no, żeby pozwolono mi pracować w laboratoriach FIANA...

– Co z niego za przybysz? – ze zdziwieniem i oburzeniem rzekł Chlebowwodow. – Co z niego za przybysz, pytam, jeśli codziennie spotykam go w restauracji? A wy, obywatelu, właściwie skąd jesteście i skąd się tu wzięliście?

– Jestem Konstantyn z układu Antaresa... – Konstantyn zasepił się. – Myślałem, że już wiecie... Już mnie wypytywano, ankietę wypełniałem... Zauważył Wybiegałkę i uśmiechnął się. – To wy mnie pytaliście, prawda?

Chlebowwodow zwrócił się do Wybiegałły.

– Według was on jest przybyszem? – spytał zjadliwie.

– Tego... – zaczął Wybiegało z godnością. – Trzeba wiedzieć, towarzyszu Chlebowwodow, że współczesna nauka nie wyklucza pojawienia się przybyszów. Jest to oficjalny pogląd, nie mój, tylko o wiele bardziej odpowiedzialnych pracowników nauki... Giordano Bruno, na przykład, wypowiedział się na ten temat zupełnie oficjalnie... Akademik Wołosjans Lewon Alfredowicz także... i... tego... pisarze, Wells, na przykład, albo, powiedzmy, Czuguniec...

– Ciekawe rzeczy się dzieją – powiedział z niedowierzaniem Chlebowwodow. – Przybysze się jacyś dziwni porobili...

– Ja tu patrzę na fotografię w aktach – zabrał głos Farfurkis. – Widzę, że ogólne podobieństwo jest, ale obywatel na fotografii ma dwie ręce, a ten nieznaną obywatel ma cztery. Jak to z punktu widzenia nauki może być tłumaczone?

Wybiegało palnął po francusku dłuższy cytat, którego sens zawierał się w tym, że jakiś Artur lubił rankiem spacerować po brzegu morza, wypiwszy uprzednio filiżankę czekolady.

– Stańcie, Kostia, twarzą do towarzysza Farfurkisa – przerwałem mu, zwracając się do Konstancyntyna i Konstancyntyntyny posłusznie wypełnił polecenie.

– Tak, tak, tak – powiedział Farfurkis – to, znaczy, mamy załatwione... Muszę powiedzieć, Ławrze Fiedotowiczu, że zgodność fotografii z tym oto obywatelem jest niewątpliwa. Tu czworo oczu i tu... Nosa brak. Zgadza się. Usta haczykowate. Wszystko w porządku.

– No, nie wiem – powiedział Chlebowwodow. – O przybyszach wyraźnie pisano w gazetach, że gdyby istnieli, dawaliby nam o sobie znać. A jeśli nie dają o sobie znać, to ich nie ma. To wymysły nieodpowiedzialnych czynników... Jesteście przybyszem? – warknął nagle na Konstancyntyna.

– Tak – powiedział Konstancyntyn cofając się.

– Dawaliście o sobie znać?

– Ja nie dawałem – powiedział Konstancyntyn. – Wcale nie miałem zamiaru u was lądować. I nie w tym, według mnie, rzecz...

– Nie, drogi obywatelu, to już zostawcie mnie. Właśnie w tym rzecz. Dawaleś o sobie znać – serdecznie witamy, chleb i sól wynosimy, jedz, pij i popuszczaj pasa. A nie dawaleś – to wybaczcie. Amfibrach amfibrachem, a nam tu pieniędzy darmo nie dają. My tu pracujemy i nie możemy zwracać uwagi na postronnych. Takie jest moje zdanie.

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Kto ma coś jeszcze do powiedzenia?

– Ja, jeśli pozwolicie – poprosił Farfurkis. – Towarzysz Chlebowwodow zupełnie słusznie naświetlił zagadnienie. Jednakże, niezależnie od przeciążenia pracą nie powinniśmy się uchylać od załatwienia sprawy. Wydaje mi się, że do tego konkretnego przypadku powinniśmy podejść bardziej indywidualnie. Jestem za dokładniejszym rozpatrzeniem sprawy. Nikomu nie powinniśmy dawać okazji do oskarżania nas o lekkomyślność, biurokratyzm i bezdusność z jednej strony, a także o opieszałość, pięknoduchostwo i brak czujności z drugiej. Za pozwoleniem, Ławrze Fiedotowiczu, zaproponowałbym przeprowadzenie dodatkowego dochodzenia w sprawie obywatela Konstantynowa w celu wyjaśnienia jego tożsamości.

– Dlaczego mamy wchodzić w kompetencje milicji? – powiedział Chlebowwodow, czując, że obalony rywal znów niepohamowanie pnie się po zboczu w górę.

– Wybaczcie – powiedział Farfurkis. – Nie zastępować milicji, a działać w imię wypełnienia instrukcji, gdzie w paragrafie dziewiątym, części pierwszej, artykule szóstym mówi się na ten temat... – Głos jego podniósł się do uroczystej dźwięczności. – „W wypadku, gdy identyfikacja przeprowadzona przez naukowego konsultanta wspólnie z przedstawicielami administracji, dobrze znającymi sytuację w mieście, wywołuje wątpliwości Trójki, należy przeprowadzić dodatkowe badania sprawy na okoliczność uprecyzyjnienia identyfikacji, wspólnie z pełnomocnikiem Trójki lub na jednym z posiedzeń Trójki”.

– Instrukcja instrukcją – powiedział przez nos Chlebowwodow. – My będziemy zgodni z instrukcją, a on będzie nam

tu głowę zawracać, łajdak czterooczasty... czas nam będzie zabrał. Społeczny czas! – wrzasnął tragicznie, patrząc kątem oka na Ławra Fiedotowicza.

– Czemu mówicie, że jestem łajdak? – spytał oburzony Konstantyn. – Obrażacie mnie, obywatelu Chlebowwodow. A w ogóle to widzę, że jest wam całkiem obojętne, czy jestem przybyszem, czy nie. Chcecie podgryźć tylko obywatela Farfurkisa i zyskać w oczach obywatela Winiukowa...

– Oszczerstwo! – z płonąca twarzą ryknął Chlebowwodow. – Obmawiają! Co wy na to, towarzysze? Dwadzieścia pięć lat, gdzie każą... Ani jednej nagany... Zawsze z awansami...

– I znów łżecie – spokojnie powiedział Konstantyn. – Dwa razy wywalono was bez żadnych awansów.

– Ależ to potwarz! Ławrze Fiedotowiczu!... Towarzyse!... Dużą bierzecie na siebie odpowiedzialność, obywatelu Konstantynow! Jeszcze się okaże, czym zajmowała się wasza sotnia rodziców, co to byli za jedni. Nabrał sobie, patrzcie go, całą czeredę kuzynków...

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Jest wniosek, by przerwać dyskusję. Są inne wnioski?

Zapadła cisza. Farfurkis triumfował, nie starając się tego ukryć. Chlebowwodow ocierał chusteczką czoło, a Konstantyn wpatrywał się nieprzerwanie w Ławra Fiedotowicza. Wyraźnie starał się wyczytać jego myśli, przeniknąć jego duszę. Było jednak widać, że wszystkie te wysiłki idą na marne. Na beznosej twarzy o czterech oczach coraz wyraźniej malowało się rozczarowanie, jakie przeżywa poszukiwacz skarbów, który odwalił tajemniczy kamień, włożył rękę aż po pachę w starożytną skrytkę, ale w żaden sposób nie może namacać niczego poza drobnym pyłem, lepka pajęczyną i jakimiś nieokreślonymi okruszynami.

– O ile innych wniosków brak – powiedział Ławr Fiedotowicz – przystąpimy do rozpatrzenia sprawy. Głosu udziela się... – nastąpiła męcząca pauza, w czasie której Chlebowwodow omal nie umarł – ... towarzyszowi Farfurkisowi.

Chlebowwodow, ocknąwszy się na dnie smrodliwej przepaści, oczami obłąkanego obserwował lot ścierwojada, krążącego w niedostępnym obecnie resortowym błękiecie. Farfurkis nie spieszył się z rozpoczęciem. Wykonał jeszcze kilka okrążeń, oblewając Chlebowwodowa łajnem, potem usiadł na szczycie góry i poczyścił sobie piórka, wdzięcząc się i kokieteryjnie spoglądając na Ławra Fiedotowicza.

– Twierdzicie, towarzyszu Konstantyn – zaczął w końcu – żeście przybyszem z innej planety. Jakie macie dokumenty na potwierdzenie tego faktu?

– Mogłbym pokazać wam swój dziennik pokładowy – odpowiedział Konstantyn. – Ale, po pierwsze, nie nadaje się on do transportu, a po drugie, nie chciałbym sobie i wam zawracać głowy jakimiś dowodami. Przecież przyszedłem do was z prośbą o pomoc. Każda planeta aprobująca konwencję kosmiczną jest zobowiązana do udzielania pomocy ofiarom awarii. Powiedziałem już, o co mi chodzi, teraz czekam tylko na odpowiedź. Być może, nie jesteście w stanie udzielić mi tej pomocy. Jeśli tak, powiedzcie mi to wprost – nie ma w tym nic wstydliwego.

– Chwileczkę – przerwał mu Farfurkis. – Odłożymy tymczasem sprawę kompetencji niniejszej komisji w kwestii udzielania pomocy przedstawicielom innych planet. Nasze zadanie polega w tej chwili na zidentyfikowaniu was, towarzyszu Konstantynow, jako takiego przedstawiciela. Momencik, jeszcze nie skończyłem. Wspomnieliście o dzienniku pokładowym i stwierdziliście, że nie nadaje się on, niestety, do przetransportowania. Ale może Trójka będzie miała możliwość obejrzeć wyżej wspomniany dziennik wprost na pokładzie waszego statku?

– Nie, to niemożliwe – westchnął Konstantyn, próbując przeniknąć myśli Farfurkisa.

– No cóż, macie prawo – odrzekł Farfurkis. – Może jednak zechcecie przedstawić nam inną dokumentację mogącą uwierzytelnić wasze pochodzenie?

– Widzę – powiedział Konstantyn z pewnym zdziwieniem – że istotnie chcecie przekonać się o tym, iż jestem

przybyszem. Prawdę mówiąc, niezupełnie rozumiem wasze motywy... Ale nie mówmy o tym. Co się zaś tyczy uwierzytelnień, to czyż mój wygląd zewnętrzny nie daje wam nic do myślenia?

– Niestety, to wszystko nie jest takie proste – stwierdził Farfurkis. – Nauka nie daje nam w pełni precyzyjnego określenia, co to jest człowiek. To oczywiste. Gdyby, na przykład, nauka określiła ludzi jako istoty z dwojgiem oczu i rąk, znaczna część społeczeństwa, posiadająca tylko jedną rękę lub w ogóle nie posiadająca rąk, znalazłaby się w dość skomplikowanym położeniu. Z drugiej strony, współczesna medycyna dokonuje cudów. Sam widziałem w telewizji psy o dwóch głowach i sześciu łapach. Nie mamy żadnych podstaw...

– Może w takim razie wygląd mojego statku... Wygląd dostatecznie nietypowy dla waszej techniki...

Farfurkis znów pokręcił głową.

– Powiniście zdawać sobie sprawę – rzekł miękko – że działająca w naszym atomowym wieku odpowiedzialna komisja o specjalnych pełnomocnictwach nie jest w stanie zdziwić się jakimkolwiek technicznym urządzeniem.

– Potrafię odczytywać myśli – poinformował Konstantyn. Wyraźnie go to wciągnęło.

– Telepatia jest antynaukowa – zauważył łagodnie Farfurkis. – Nie wierzymy w telepatię.

– Ach tak? – zdziwił się Konstantyn. – Ciekawe... Posłuchajcie jednak, co teraz powiem. Wy, na przykład, pragniecie mi opowiedzieć o wypadku z „Nautilusem”, a obywatel Chlebowodow...

– Oszczerstwo! – wrzasnął chrapliwie Chlebowodow i Konstantyn zamilkł.

– Zrozumcie nas właściwie – powiedział z przejęciem Farfurkis, kładąc dłonie na sercu. – Nie upieramy się przy tym, że telepatia nie istnieje. Twierdzimy natomiast, że telepatia jest antynaukowa i że w nią nie wierzymy. Wspomnieliście o wypadku z „Nautilusem”, ale przecież wszyscy wiedzą, że to tylko burżuazyjny okręt, sfabrykowany po to, żeby

odwrócić uwagę narodów od zasadniczych problemów dnia dzisiejszego. W ten sposób wasze wrodzone zdolności telepatyczne, lub te, o których posiadaniu jesteście przekonani, są tylko i wyłącznie faktem z waszej biografii, a ta biografia jest właśnie obiektem naszego zainteresowania. Czujecie zamknięte koło?

– Czuję – potwierdził Konstantyn. – A gdybym, powiedzmy, w waszej obecności troszeczkę pofruwał?

– Byłoby to, rzecz jasna, interesujące. Ale niestety jesteśmy w tej chwili w pracy i nie możemy tracić czasu na widowiska, nawet najbardziej interesujące.

Konstantyn spojrział na nas pytająco. Wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia i wcale nie miałem ochoty na żarty. Konstantyn nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Wielka Okrągła Pieczęć wisiała już nad nim jak miecz Damoklesa. Edik wciąż zajmował się swoją zabawką. Nie wiedziałem, co robić.

– Zaczynam, Kostia – powiedziałem grając na zwłokę.

Kostia zaczął. Zaczął trochę ospale. Był ostrożny, obawiał się coś zniszczyć, ale stopniowo latanie pochłonęło go do tego stopnia, że zademonstrował szereg niesłychanie efektywnych ćwiczeń z czasoprzestrzennym kontinuum, z różnorodnymi transformacjami żywego koloidu i z krytycznym stanem organów refleksu. Kiedy wreszcie skończył, kręciło mi się w głowie, puls szalał, huczało mi w uszach i ledwie usłyszałem zmęczony głos przybysza.

– Czas ucieka, śpieszę się. Mówcie, coście postanowili.

I znów nikt nie odpowiedział. Zamyślony Ławr Fiedotowicz długimi palcami kręcił gałką dyktafonu. Jego mądra twarz była spokojna i trochę smutna. Chlebowwodow na nic nie zwracał uwagi, albo takie robił wrażenie. Naskrobał kolejną notatkę, przekazał ją Zubo, ten przeczytał ją uważnie i bezgłośnie przebiegł palcami po klawiaturze maszyny informacyjnej. Farfurkis przerzucał notes, patrząc w kartki niewidzącymi oczami. A Wybiegałło męczył się. Zagryzał usta, krzywił się, nawet pojękiwał cichutko. Z maszyny z cichym

prztyknięciem wypadła biała karteczka. Zubo złapał ją i podał Chlebowwodowi.

Spojrzałem na Edika. Trzymał remoralizator na dłoni i wpatrując się jednym okiem w lustrzane okienko, ostrożnie regulował aparat. Wstrzymałem oddech. Zacząłem patrzeć i słuchać.

– Skok o tysiąc lat – powiedział cicho Wybiegałło.

– Skok w tył – odrzekł przez zęby Farfurkis, wciąż kartkując notes.

– Nie wiem, jak my będziemy teraz pracować – powiedział Wybiegałło. – Zajrzeliśmy w spis odpowiedzi bez rozwiązywania zadań.

– Ale wy nie widzieliście odpowiedzi – zaprotestował Farfurkis. – Chciecie je zobaczyć?

– Bez różnicy – powiedział Wybiegałło. – W końcu wiemy, że odpowiedzi już są. Nudno czegoś szukać, kiedy dobrze wiadomo, że już ktoś to znalazł.

Przybysz czekał, założywszy ręce. Było mu niewygodnie na krześle z niskim oparciem, więc siedział wyprostowany jak struna. Jego okrągłe, niemrugające oczy świeciły nieprzyjemnie czerwonym blaskiem. Chlebowwodow wyrwał kartkę, znów napisał notatkę i znów Zubo pochylił się nad klawiaturą.

– Wiem, że musimy odmówić – powiedział Wybiegałło. – Wiem też, że po dwudziestokroć będziemy przeklinać tę decyzję.

– To nie jest jeszcze najgorsze z tego, co nam się może przydarzyć – powiedział Farfurkis. – Gorzej, jeśli nas po dwudziestokroć przeklną inni.

– Nasze wnuki, a może i dzieci mogłyby odczuwać to wszystko jako fakty.

– Nie powinno być dla nas obojętne, co nasze dzieci będą uważały za fakty.

– Moralne kryteria humanizmu – powiedział Wybiegałło, uśmiechając się blado.

– Innych kryteriów nie mamy – zauważył Farfurkis.

- Niestety – rzekł Wybiegałło.
- Na szczęście, kolego, na szczęście. Ciężkie konsekwencje ponosiła ludzkość, gdy próbowała stosować inne kryteria.
- To wiem. A chciałbym tego nie wiedzieć.

Wybiegałło spojrział na Ławra Fiedotowicza.

– Problem, który obecnie rozpatrujemy, postawiony jest niekonkretnie. Bazuje on na niejasnych sformułowaniach, na intuicji. Jako uczoney nie próbuję rozwiązywać tego zadania. Byłoby to niepoważne. Pozostaje jedno – być człowiekiem. Ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Jestem przeciwny terytorialnym kontaktom... Nie na długo! – krzyknął wzburzony, nachylając się całym ciałem w kierunku nieruchomego przybysza. – Powinniście nas właściwie zrozumieć... Wierzę, że nie na długo. Dajcie nam trochę czasu, przecież nie tak dawno wyszliśmy z chaosu, jesteśmy jeszcze po uszy w chaosie... – zamilkł i opuścił głowę.

Ławr Fiedotowicz popatrzył na Farfurkisa.

– Mogę tylko powtórzyć to, co mówiłem wcześniej – rzekł cicho Farfurkis. – Nikt i o niczym mnie nie przekonał. Jestem przeciwko jakimkolwiek kontaktom po wieczne czasy... Jestem absolutnie przekonany – dodał uprzejmie – że Wysoka Układająca się Strona uznałaby każde inne postanowienie za świadectwo zarozumiałości i niedojrzałości społecznej. – Skłonił lekko głowę przed przybyszem.

– Wy? – spytał Ławr Fiedotowicz.

– Jestem kategoriycznie przeciw jakimkolwiek kontaktom – odezwał się Chlebowwodow, nie przerywając pisania. – Kategoriycznie i bezwarunkowo. – Podał Zubo kolejną karteczkę. – Nie będę próbował szukać uzasadnień, ale proszę o danie mi dziesięciu minut umożliwiających wypowiedzenie kilku słów w tej kwestii.

Ławr Fiedotowicz odstawił ostrożnie dyktafon i powoli podniósł się z miejsca. Przybysz też powstał. Stali naprzeciw siebie, oddzieleni ogromnym stołem zawalonym terminarzami, futerałami na mikrofilmy i kasetami wideomagnetycznymi.

– Niełatwo mi w tej chwili mówić – rozpoczął Ławr Fiedotowicz. – Niełatwo choćby dlatego, że sytuacja wymaga zapewne słów patetycznych i sformułowań nie tylko precyzyjnych, ale i podniosłych. Jednakże tu, na Ziemi, wszystko co patetyczne w ciągu ostatniego wieku poważnie się zdewaluowało. Dlatego też postaram się mówić tylko precyzyjnie. Zaproponowaliście nam przyjaźń i współpracę we wszystkich aspektach cywilizacji. Jest to propozycja nie mająca precedensu w historii ludzkości, tak jak bez precedensu jest fakt pojawienia się na naszej Ziemi istoty z innej planety i jak bezprecedensowa jest nasza odpowiedź. Udzielamy wam odpowiedzi odmownej we wszystkich punktach proponowanego nam porozumienia, odmawiamy wysunięcia jakiegokolwiek kontrporozumienia, kategorycznie nastajemy na zerwanie jakichkolwiek kontaktów między naszymi cywilizacjami i między ich wybranymi przedstawicielami. Z drugiej strony, nie chcielibyśmy, by taka kategoryczna, nieprzyjazna w formie odmowa miała pogłębić przepaść i bez tego trudną do pokonania. Pragniemy stwierdzić, że ideę kontaktu między różnymi cywilizacjami w Kosmosie uznajemy za pożyteczną i wyjątkowo obiecującą. Pragniemy podkreślić, że idea kontaktu od najdawniejszych czasów wchodziła do skarbnicy najstarszanniej pielęgnowanych, najbardziej wzniosłych koncepcji ludzkości. Pragniemy przekonać was, że nasza odmowa w żadnym wypadku nie powinna być traktowana jako akt nieprzyjazny, oparty na skrytej wrogości lub związany z fizjologicznymi i innymi instynktownymi przesadami. Chcielibyśmy, aby znane wam były przyczyny naszej odmowy i jeśli nie zaaprobowane, to w ostateczności przyjęte do wiadomości.

Wybiegało i Farfurkis bez zmruczenia powiek wpatrywali się w najwyższym napięciu w Ławra Fiedotowicza. Chlebowodow otrzymał odpowiedź na poprzednią notatkę, starymni włożył wszystkie kartki do teczki i także wpatrzył się w Ławra Fiedotowicza.

– Wielka jest dysproporcja między naszymi cywilizacjami – kontynuował Ławr Fiedotowicz. – Nie mówię tu

o dysproporcji biologicznej – natura obdarzyła was o wiele szczydrzej niż nas. Nie ma też co mówić o dysproporcjach społecznych – dawno już przebyliście to stadium rozwoju społecznego, w które my dopiero wchodzimy. I, w końcu, nie mówię o dysproporcjach naukowo-technicznych – wedle najskromniejszych rozrachunków wyprzedziliście nas o... kilka wieków. Mówić będę o skutkach tych trzech aspektów dysproporcji – o gigantycznej dysproporcji psychologicznej, która jest główną przyczyną niepowodzenia naszych rozmów. Dzieli nas gigantyczna rewolucja w psychice mas, rewolucja, do której my czynimy dopiero przygotowania, a wy już o niej na pewno zapomnieliście. Psychiczna przepaść uniemożliwia nam zrozumienie celu waszego przybycia, nie pojmujemy, po co wam przyjaźń i współpraca z nami. Przecież dopiero wybrnęliśmy ze stanu ciągłych wojen, ze świata rozlewu krwi i ucisku, ze świata kłamstwa, podłości i chciwości, i nie obmyliśmy się jeszcze z brudu tego świata. Kiedy zderzymy się ze zjawiskiem, którego nasz rozum nie jest w stanie objąć, kiedy mamy do dyspozycji tylko nasze ogromne, lecz nie przyswojone jeszcze doświadczenie, nasza psychika pobudza nas do tworzenia sobie modelu tego zjawiska na obraz i podobieństwo własne. Mówiąc pospolicie, nie dowierzamy wam, tak samo jak nie dowierzamy samym sobie. Nasza powszechna świadomość bazuje na egoizmie, utylitaryzmie i mistyce. Ustanowienie i rozszerzenie kontaktów z wami oznacza dla nas przede wszystkim niebezpieczeństwo niepojętej komplikacji i tak już skomplikowanej sytuacji na naszej planecie. Nasz egoizm, nasz antropocentryzm ukształtowany przez religię i naiwne teorie filozoficzne, które wyrobiły w nas przekonanie o naszej wyższości i wyjątkowości – wszystko to grozi wywołaniem potwornego szoku psychicznego, grozi wybuchem irracjonalnej nienawiści do was, strachu przed waszymi niewyobrażalnymi możliwościami, uczucia głębokiego poniżenia i przekonania o nagłym strąceniu króla przyrody w błoto. Nasz utylitaryzm wywoła w ogromnej części społeczeństwa dążenie do bezmyślnego korzystania z materialnych

dóbr postępu otrzymanych bez wysiłku, za darmo, grozi nieodwracalnym zwróceniem się dusz ludzkich w kierunku pasożytnictwa i konsumpcyjności, a Bóg mi świadkiem, już w chwili obecnej rozpaczliwie walczymy z tymi zjawiskami, będącymi skutkami naszego naukowo-technicznego postępu. Co się zaś tyczy zakorzenionego w nas mistycyzmu, naszej zastarzałej wiary w dobrych bogów, dobrych królów, pozytywnych bohaterów, wiary w ingerencję autorytatywnej osobowości, która przyjdzie i zdejmie z nas wszystkie kłopoty i całą odpowiedzialność, co się tyczy tej odwrotnej strony naszego egoizmu, to zapewne nie zdajecie sobie nawet sprawy, jaki będzie rezultat waszej stałej obecności na naszej planecie. Mam nadzieję, że sami już widzicie, co oznacza dla nas rozszerzenie kontaktów. Rozszerzenie kontaktów grozi sprowadzeniem do zera tych skromnych osiągnięć w dziedzinie przygotowań do rewolucji w psychice mas, do których doszliśmy z tak ogromnym wysiłkiem. Winniście zrozumieć, że nie w was, nie w waszych wadach lub zaletach leży przyczyna naszej odmowy. To problem nas i naszej niedojrzałości. Jasno zdajemy sobie z tego sprawę i choć dziś kategorycznie odcinamy się od rozszerzenia z wami kontaktów, nie mamy zamiaru czynić tego stanu trwałym. Dlatego też ze swej strony proponujemy...

Ławr Fiedotowicz podniósł głos i wszyscy wstali.

– Proponujemy, by po upływie pięćdziesięciu lat od dnia waszego odlotu powtórzyć spotkanie upełnomocnionych przedstawicieli obu cywilizacji na północnym biegunie planety Pluton. Mamy nadzieję, że do tego czasu przygotujemy się lepiej do przemyślanej i pożytecznej współpracy naszych cywilizacji.

Ławr Fiedotowicz zakończył i usiadł. Tylko Chlebowwodow i przybysz stali nadal.

– W całej rozciągłości dzielając poglądy wyrażone tu przez przewodniczącego – ostro i sucho przemówił Chlebowwodow – uważam za swój obowiązek nie pozostawiać żadnych wątpliwości Wysokiej Układającej się Stronie co do naszej

gotowości niedopuszczenia wszelkimi dostępnymi środkami do nawiązania jakiegokolwiek kontaktu przed terminem umownym. W pełni uznając ogromną techniczną i wynikającą z niej wojenną przewagę Wysokiej Układającej się Strony, uważam za swój obowiązek absolutnie niedwuznacznie stwierdzić, że każda próba kontaktu na drodze przemocy, niezależnie od formy, w jakiej zostanie podjęta, będzie uważana od dnia waszego odlotu za akt agresji i spotka się ze zdecydowanym odporem przy użyciu całej ziemskiej potęgi zbrojnej. Każdy statek, który pojawi się w sferze osiągalnej dla naszych środków bojowych, będzie zlikwidowany bez uprzedzenia...

– Starczy? – zwrócił się do mnie szeptem Edik.

Wszyscy zastygli jak na fotografii.

– Nie wiem – odparłem. – Szkoda. Wiek bym słuchał.

– Nieźle było – rzekł Edik. – Ale trzeba kończyć. Taki ubytek energii mózgowej... – z tymi słowami wyłączył remoralizator.

– No, towarzysze! – wrzasnął Farfurkis. – Przecież nie można tak pracować, widzicie, gdzieśmy się zapędzili!...

Wybiegałło poruszył ustami, popatrzył mętным wzrokiem i zabrał się do czesania brody.

– Słusznie! – powiedział Chlebowwodow i usiadł. – Trzeba kończyć. Jestem w mniejszości, no cóż ja?... Ja – proszę bardzo! Nie chcecie go na milicję – to nie. No to zrationalizujemy tego magika jako niewyjaśnione zjawisko. Myślałby kto, ręce sobie dwie doczepił...

– Nie da rady! – szepnął ze smutkiem Edik. – Ciężka sprawa, Sasza... Żadnej moralności ci hydraulicy nie mają...

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz i palnął niewielką mówkę. Wynikało z niej, że społeczeństwo nie potrzebuje niewyjaśnionych zjawisk, które mogą przedstawić, ale z tych czy innych powodów nie przedstawiają dokumentów uwierzytelniających ich prawo do niewyjaśnioności. Z drugiej strony, społeczeństwo od dłuższego już czasu żąda wykarczowania ze wszystkich instancji biurokratyzmu i papierkowego opieszalstwa. Na bazie tej tezy Ławr Fiedotowicz wyraził powszechny

pogląd, że rozpatrzenie sprawy numer siedemdziesiąt dwa należy przenieść na miesiąc grudzień bieżącego roku, by dać możliwość obywatelowi Konstantynowowi K. K. udania się na miejsce stałego zamieszkania i powrotu z należycie przygotowanymi dokumentami. Co się tyczy materialnej pomocy, której okazania odmówiliśmy towarzyszowi Konstantynowowi K.K., Trójka ma prawo okazać takową pomoc lub uwzględnić prośbę o okazanie takowej tylko w takich wypadkach, gdy petent reprezentuje sobą zidentyfikowane przez Trójkę niewyjaśnione zjawisko. A jeżeli obywatel Konstantynow K.K. jako takie zjawisko nie został jeszcze uznany, problem okazania mu pomocy odkłada się do miesiąca grudnia, a dokładnie do momentu pełnej identyfikacji...

Wielka Okrągła Pieczęć nie pojawiła się na scenie. Westchnąłem z ulgą. Konstantyn, który nie do końca jeszcze rozegrał się w sytuacji, i którego dawno już coś rozpierało, demonstracyjnie, całkiem po naszymu, splunął i zniknął.

– Agresja! – wrzasnął radośnie Chlebowwodow. – Widzicie, jak charknął? Podłogę całą zapluł!

– Oburzające – zgodził się Farfurkis. – Kwalifikuję to jako zniewagę.

– A nie mówiłem, że to łajdak? – powiedział Chlebowwodow. – Trzeba zadzwonić na milicję, niech go posadzą na tydzień, niech ulice pozamiata na cztery ręce...!

– Nie, towarzyszu Chlebowwodow – zaprotestował Farfurkis. – To już nie kwestia milicji. Nie doceniacie tego, że mamy tu do czynienia ze splunięciem w twarz społeczeństwu i administracji. To już podpada pod prokuratora!

Ławr Fiedotowicz milczał, ale jego krótkie piegowate palce nerwowo biegały po stole – to miętosił jakiś przycisk, to skubał telefon. Zapachniało przestępstwem politycznym. Wybiegało, który kichał na Konstantyna, wykazywał śmiertelną obojętność. Chrząknąłem i poprosiłem o głos. Udzielono mi go, chociaż niezbyt chętnie – oczy już nerwowo połyskiwały, języły się grzywy, szpony gotowe były szarpać, a kły rozrywać.

Starając się mówić jak najbardziej dobitnie, ostrzegłem Trójkę, że w jej interesie leży postawienie sprawy na galaktocentrycznych, a nie na antropocentrycznych pozycjach. Podkreśliłem, że obyczaje i sposoby wyrażania uczuć u istot z innych planet mogą i powinny różnić się od ludzkich. Posłużyłem się oklepaną analogią, dotyczącą obyczajów różnych plemion i narodów naszej planety. Wyraziłem przekonanie, że towarzysza Farfurkisa nie zadowoliliby pocieranie nosami, będące normalnym powitaniem praktykowanym wśród pewnych ludów północy, a jednak towarzysz Farfurkis nie uznałby tego chyba za naruszenie jego godności członka Trójki. Co się tyczy towarzysza Konstantynowa, to obyczaj wypluwania na ziemię znajdującego się w jamie gębowej nadmiaru płynu o określonym składzie chemicznym, obyczaj wyrażający u niektórych ludów Ziemi irytację, niezadowolenie lub zamiar obrażenia rozmówcy, u istoty z innej planety może i powinien wyrażać coś zupełnie innego, w tym nawet podziękowanie za uwagę. Tak zwane splunięcie towarzysza Konstantynowa może stanowić absolutnie naturalną reakcję, związaną ze specyfiką fizjologicznego funkcjonowania jego organizmu... (Jaka tam funkcja! – ryknął Chlebowwodow. – Zapłuł całą podłogę i spłynął!). W końcu nie można wykluczyć, że wspomnianą czynność fizjologiczną towarzysza Konstantynowa można rozpatrywać jako działanie związane ze sposobem błyskawicznego przeniesienia się w przestrzeni...

Dosięgałem szczytów krasomówstwa i z ulgą obserwowałem, jak palce Ławra Fiedotowicza poruszały się coraz wolniej, aż w końcu legły spokojnie na stole. Chlebowwodow w dalszym ciągu porykiwał groźnie. Ale czujny Farfurkis szybko zorientował się w zmianie sytuacji i ostro natarł w zupełnie nieoczekiwaną stronę. Obrócił się nagle przeciwko komendantowi, który do tej pory, uważając się za absolutnie bezpiecznego z prostym zadowoleniem obserwował rozwój sytuacji.

– Wielokrotnie zwracałem uwagę na fakt – zagrzmiał Farfurkis – że działalność propagandowa i wychowawcza

w Kolonii Niewyjaśnionych Zjawisk jest postawiona do góry nogami. Nie odbywają się prawie wcale prelekcje polityczno-wychowawcze. Gazetka ścienna od dawna jest zdezaktywizowana. Wieczorowy Uniwersytet Kultury praktycznie nie funkcjonuje. Cała działalność kulturalna w Kolonii ogranicza się do potańcówek, pokazów zagranicznych filmów i prymitywnych imprez estradowych. Pokazowe gospodarstwo jest zapuszczone. Koloniści są pozostawieni samym sobie, wielu z nich zdemoralizowało się, nikt prawie nie ma pojęcia o sytuacji międzynarodowej, a najbardziej zacofani, na przykład duch niejakiego Wienera, nawet nie zdają sobie sprawy, gdzie się znajdują. W rezultacie mamy do czynienia z chuligaństwem i amoralnymi postępkami i zalewani jesteśmy potokiem skarg ze strony społeczeństwa. Przedwczoraj pterodaktyl Kuźma opuścił terytorium Kolonii i znajdując się niewątpliwie w stanie nietrzeźwym, fruwał nad klubem młodzieży robotniczej i zżerał żarówki okalające transparent z napisem „Serdecznie Witamy”. Podający się za telepatę i spirytystę niejaki Mikołaj Dołgonosikow przeniknął nieuczciwym sposobem na teren żeńskiego internatu liceum pedagogicznego i przeprowadzał tam rozmowy oraz działania, zakwalifikowane przez administrację jako propaganda religijna. I oto w dniu dzisiejszym spotykamy się z nowym smutnym faktem, będącym skutkiem przestępczej opieszałości komendanta Kolonii, towarzysza Zubo, w dziedzinie wychowania i propagandy. Cokolwiek wyrażało wyplunięcie przez towarzysza Konstantynowa nadmiaru cieczy z jamy gębowej, świadczy o jego niezrozumieniu faktu, gdzie przebywa i jak powinien się zachować, co wszystko z kolei jest winą towarzysza Zubo, który nie wyjaśnił kolonistom sensu ludowego porzekadła: „do cudzej świątyni ze swoją religią się nie pchaj”. I wydaje mi się, że powinniśmy udzielić ostrzeżenia towarzyszowi Zubo, upomnieć go surowo i zobowiązać do podniesienia poziomu pracy wychowawczej w powierzonej mu Kolonii!

Farfurkis uciszył się i za komendanta zabrał się Chlebowodow. Jego przemówienie było chaotyczne i pełne nieja-

snych aluzji oraz tak strasznych gróźb, że komendant zupełnie osłabł i na oczach wszystkich zaczął zażywać pigułki w czasie, gdy Chlebowwodow wrzeszczał – Ja ci popluję!... Czyś ty całkiem oszalał?

– Hrrrm – powiedział w końcu Ławr Fiedotowicz i zabrał się do rysowania nad różnymi literami potężnych kropek. Komendant otrzymał napomnienie za brak wyczucia administracyjnego, a także za naganne zachowanie się w obecności Trójki, wyrażające się splunięciem na podłogę przez towarzysza Konstantynowa. Towarzysz Konstantynow K.K. otrzymał ostrzeżenie z wpisaniem do akt za chodzenie baz kapci. Farfurkisowi udzielono ustnej nagany za systematyczne przekraczanie czasu przemówienia, Chlebowwodowowi zaś za naruszenie etyki administracyjnej, wyrażające się w próbie niesłusznego oczerniania towarzysza Konstantynowa K.K. Upomniany też został Wybiegałło za niechlujny wygląd i przybycie na posiedzenie z nieogoloną twarzą.

– Innych wniosków brak? – zapytał Ławr Fiedotowicz. Chlebowwodow natychmiast nachylił się do niego i coś szepnął w ucho. Ławr Fiedotowicz wysłuchawszy dodał, że jest także wniosek, aby przypomnieć pewnym przedstawicielom z dołu o obowiązku bardziej aktywnego udziału w pracach Trójki. Teraz wszystkim się dostało. Nikogo nie zapomniano i o niczym nie zapomniano. Atmosfera oczyściła się natychmiast, nawet komendant poweselał. Tylko Edik zachmurzył się i popadł w zadumę.

– Następny – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Referujcie, towarzyszu Zubo.

– Sprawa numer dwa – odczytał komendant. – Nazwisko: nie dotyczy. Imię: nie dotyczy. Imię ojca: nie dotyczy. Przezwisko: Kuźma. Rok i miejsce urodzenia: nie ustalono. Pewnie Kongo.

– A on co, niemowa? – spytał dobrodusznie Chlebowwodow.

– Nie umie mówić – powiedział komendant. – Tylko kwacze.

– Od urodzenia taki?
– Pewnie tak.
– Ładne rzeczy odziedziczył – warknął Chlebowwodow. –
Dlatego między bandytów popadł. Ile razy karany?
– Kto? – spytał oszołomiony komendant. – Ja?
– Czemu zaraz „ja”. No ten bandyta. Jak go wołają?
Waśka?

– Protestuję! – z niecierpliwością powiedział Farfurkis. –
Towarzysz Chlebowwodow wychodzi z założenia, że prze-
zwiska mają tylko bandyci. W instrukcji, w paragrafie siód-
mym, rozdział czwarty, część druga mówi się między innymi
o nadaniu przezwisk zjawiskom, które identyfikuje się jako
istoty żywe, nie posiadające rozumu.

– A! – powiedział rozczarowany Chlebowwodow. – To ja-
kiś tam pies. A ja myślałem, że bandyta. Kiedy zarządzałem
kasą zapomogową pracowników teatru, miałem takiego ka-
sjera...

– Protestuję! – wykrzyknął płaczliwym głosem Farfur-
kis. – To naruszenie regulaminu! W ten sposób do północy
nie skończymy!

Chlebowwodow spojrział na zegarek.

– Słusznie – powiedział. – Przepraszam. Wal, bracie. Na
czym to stanęliśmy?

– Punkt piąty – odczytał komendant. – Narodowość: pte-
rodaktyl.

Wszyscy podskoczyli, ale czas leciał, więc nikt nie wy-
rzekł ani słowa.

– Wykształcenie: nie dotyczy – kontynuował kome-
dant. – Znajomość języków obcych: nie dotyczy. Zawód
i miejsce pracy w chwili obecnej: nie dotyczy. Czy był za gra-
nicą: pewnie tak...

– Och, to źle – wymamrotał Chlebowwodow. – Źle! Och,
czujność... Pterodaktyl, powiadacie? A jaki on jest? Biały?
Czarny?

– Jak by to powiedzieć... Taki bardziej szary – wyjaśnił
komendant.

– Aha – powiedział Chlebowwodow. – I mówić nie może, tylko kwacze... No dobra, dalej.

– Istota niewyjaśnioności: uważany jest za wymarłego pięćdziesiąt milionów lat temu.

– Ile? – zapytał Farfurkis.

– Tu jest napisane, że pięćdziesiąt milionów – nieśmiało powiedział komendant.

– Niepoważne to wszystko jakieś – mruknął Farfurkis i spojrzął na zegarek. – Czytajcie – jęknął. – Czytajcie dalej!

– Dane o bliższej rodzinie: prawdopodobnie wszyscy wymarli. Stałe miejsce zamieszkania: Kiteżgrad, Kolonia Niewyjaśnionych Zjawisk.

– Zameldowany? – spytał groźnie Chlebowwodow.

– Tak jakby zameldowany – odpowiedział komendant. – Gdy się zjawił, wciągnięto go do księgi gości honorowych i tak zostało do tej pory. Można powiedzieć, że przyzwyczał się Kuźma. – W głosie komendanta dało się słyszeć rzewne nutki. Najwyraźniej był opiekunem Kuźmy.

– Czy to wszystko? – poinformował się Ławr Fiedotowicz. – Jest wniosek, aby wezwać sprawę.

Innych wniosków nie było. Komendant rozsunął w oknie zasłony.

– Kuź-Kuź-Kuź... – zawołał pieszczotliwie. – Tam, siedzi na murze, łobuz – rzekł tkliwie. – Wstydzi się... Jest wstydlivy. Ku-u-uź! Kuź-Kuź-Kuź... Leci, drań – obwieścił odsuwając się od okna.

Usłyszałem potężny szum i świst. Ogromny cień na sekundę zakrył niebo i Kuźma, trzepocząc rozwartymi, błoniastymi skrzydłami, usiadł płynnie na stole demonstracyjnym. Złożył skrzydła, zadarł głowę, otworzył długą uzębioną paszczę i cichutko kwaknął.

– Przywitał się – objaśnił komendant. – U-przej-my sukin-kot, rozumie wszystko jak trzeba.

Kuźma przyjrzał się Trójce, napotkał otepiały wzrok Ławra Fiedotowicza i nagle wrzasnął przeraźliwie, owinął się skrzydłami, złożył paszczę na brzuchu i zaczął wstydliwie

spoglądać zza skórzastych fałd jednym okiem – ogromnym, zielonym, anachronicznym, na pół zakrytym niebieską błoną. Był piękny, chociaż na pierwszy rzut oka robił odstraszające wrażenie. Chlebowwodow na wszelki wypadek upuścił coś i wszedł pod stół.

– Myślałem, że pies jakiś kwaczący... dobiegło spod stołu jego mamrotanie.

– Gryzie? – zapytał Farfurkis bojaźliwie.

– Jak można! – odparł komendant. – Spokojne stworzenie, przegania go, kto chce... Oczywiście, jeśli się rozzłości... Tylko że nigdy się nie złości.

Ławr Fiedotowicz zaczął lustrować pterodaktyla przez binokle, czym wpędził go w ostateczne zmieszanie. Kuźma kwaknął słabym głosem i ukrył głowę w skrzydłach.

– Hrrrm – z ukontentowaniem przemówił Ławr Fiedotowicz i odłożył binokle.

Sytuacja układała się pomyślnie.

– Sądziłem, że to koń jakiś – mamrotał Chlebowwodow, pełzając pod stołem.

– Pozwólcie, Ławrze Fiedotowiczu – powiedział Farfurkis. – Widzę w tej sprawie element trudności. Gdybyśmy zajmowali się rozpatrywaniem niespotykanych zjawisk, bez żadnych wahań jako pierwszy podniósłbym rękę za pospieszną racjonalizacją. Rzeczywiście, krokodyl ze skrzydłami to zjawisko dość niezwykle w naszych warunkach klimatycznych. Jednakże naszym zadaniem jest rozpatrywanie niewyjaśnionych zjawisk i tu stwierdzam nieporozumienie. Czy sprawa numer dwa posiada element niewyjaśnioności? Jeśli nie posiada, po co mamy tę sprawę rozpatrywać? Jeśli z kolei ten element występuje, to w czym się zawiera? Może towarzysz konsultant naukowy pragnie zabrać głos w tej kwestii?

Towarzysz konsultant pragnął zabrać głos i w swoim francusko-rosyjskim żargonie poinformował Trójkę, że fryzura Marii Brijon niezmiennie wprawiała w zachwyt wszystkich zbierających się na rautach u barona de Bodreila. Faktu tego on, naukowy konsultant, nie może nie przyjąć, że

niewyjaśnioność... tego... wspomnianego la pterodaktyl Kuźma zawiera się na jednej płaszczyźnie z jego niespotykanością, o czym on, konsultant naukowy z żalem zmuszony jest poinformować towarzysza Farfurkisa; że Platon był i pozostaje jego, konsultanta naukowego, serdecznym przyjacielem, ale nauce, w osobie jego, konsultanta naukowego, prawda jest droższa; że skrzydłatość krokodylów, a dokładniej obecność u niektórych krokodylów dwóch lub więcej skrzydeł, do tej pory przez naukę nie jest wyjaśniona i dlatego on, konsultant naukowy, prosiłby ogrodnika o pokazanie mu tych cudownych tuberóz, o których mówiliście w zeszły piątek; że w końcu on, konsultant naukowy, nie widzi specjalnych przyczyn, aby odkładać racjonalizację wspomnianej sprawy, ale z drugiej strony pragnąłby zostawić sobie prawo do zdecydowanego sprzeciwu.

Dopóki Wybiegało strzępił język, w pocie czoła odrabiając swoje roboczogodziny, ja pospiesznie układałem plan dalszej batalii. Kuźma ogromnie mi się spodobał i było dla mnie rzeczą oczywistą, że jeśli natychmiast się nie wtrącimy, znajdzie się w opałach.

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Czy są jakieś pytania do referenta?

– Nie mam pytań – stwierdził Chlebowwodow, który przekonawszy się, że Kuźma nie gryzie, natychmiast zbeczelniał. – Ale uważam, że to pospolity krokodyl ze skrzydłami i nic więcej. I celowo towarzysz konsultant naukowy zaciemnia nam obraz sytuacji... Z kolei zauważam, że komendant ma w Kolonii swoich pupilków i karmi ich za państwowe pieniądze. Nie chcę naturalnie twierdzić, że komendant uprawia kumoterstwo albo że bierze łapówki od tego krokodyla, ale według mnie mamy tu do czynienia z faktem oczywistym. Krokodyl ze skrzydłami to najzwyczajniejszy przypadek, a obchodzi się z nim jak ze śmierdzącym jajkiem. Wygnać by go z Kolonii, niech idzie do roboty.

– Jak to... do roboty? – spytał ogromnie przejęty sprawą Kuźmy komendant.

– A tak! U nas wszyscy pracują! Patrzcie, jak on siedzi, zdrowy byk. Drzewo by na wyrębie taszczył... albo kamień łupał. A może powiecie, że mięśnie ma słabe? Znam ja te krokodyle, różne widziałem... i skrzydlate inne tam...

– Jak to? – zapytał boleściwie komendant. – Mimo wszystko to nie człowiek, a zwierzę. Musi diety przestrzegać...

– Co z tego? U nas zwierzęta też pracują. Konie na przykład. Niech się w konie zaciągnie! Na diecie jest... Ja też jestem na diecie, a przez niego bez obiadu siedzę...

Chlebowwodow czuł już, że się trochę zapędził. Farfurkis spoglądał na niego ironicznie, a mina Ławra Fiedotowicza też dawała mu coś do myślenia. Zorientowawszy się w sytuacji, Chlebowwodow dokonał nagłego zwrotu.

– Czekajcie, czekajcie! – wrzasnął. – Który to Kuźma? Czy to nie ten Kuźma, który zżerał klubowe żarówki?... No tak, ten sam! I cóż, został ukarany? Wy się, towarzyszu Zubo, nie wykręcajcie, tylko powiedzcie wprost. Został ukarany?

– Został – odrzekł smutno komendant.

– Dokładnie jak?

– Na przeczyszczenie mu dali – powiedział komendant. Widać było, że za Kuźmę gotów jest oddać głowę.

Chlebowwodow palnął pięścią w stół i Kuźma ze strachu zrobił kałużę. Rozzłościłem się i krzyknąłem, zwracając się wprost do Ławra Fiedotowicza, że to znęcanie się nad cennym eksponatem naukowym. Farfurkis także stwierdził, że protestuje, że towarzyszy Chlebowwodow próbuje narzucać Trójce czynności wykraczające poza jej kompetencje. Ławr Fiedotowicz oblizał wskazujący palec i nerwowo przerzucił kilka kartek w teczkę, co było u niego wyrazem szczególnego rozdrażnienia. Nadciągała burza.

– Edik! – szepnąłem błagalnie.

Uważnie śledzący rozwój sytuacji Edik wziął remoralizator i wycelował prosto w Ławra Fiedotowicza. Ławr Fiedotowicz wstał i zabrał głos.

Opowiedział o zadaniach powierzonej mu Trójki, zadaniach wynikających z jej rosnącego autorytetu i rosnącej

odpowiedzialności. Zaproponował obecnym rozpoczęcie bardziej nieubłaganej walki o podwyższenie dyscypliny pracy, przeciw biurokracyzmowi, o wysoki poziom moralny wszystkich, o zdrową krytykę, o wzmocnienie pogotowia przeciwpożarowego, przeciw zarozumiałości, o osobistą odpowiedzialność każdego, o wzorową sprawozdawczość i przeciw niedocenianiu własnych sił. Naród będzie nam wdzięczny, jeśli jeszcze aktywniej niż dotychczas będziemy wypełniać nasze obowiązki. Naród nam nie wybaczy, jeśli nie będziemy wypełniać tych zadań bardziej aktywniej niż dotychczas. Jakie będą konkretne wnioski w sprawie organizacji pracy Trójki w związku ze zmienionymi warunkami?

Nie bez złośliwości zauważyłem, że nietęgo z tymi wnioskami. Chlebowwodow rozpędził się z przyzwyczajenia i zaproponował, że na własne barki weźmie problem podniesienia obowiązków. Na przykład, w związku ze wzrostem autorytetu Trójki komendant, towarzysz Zubo, powinien zobowiązać się do przedłużenia czasu pracy do czternastu roboczogodzin, a konsultant naukowy, towarzysz Wybiegałło, powinien zrezygnować z przerwy obiadowej. Jednakże ten partyzancki wypadek nie spotkał się z entuzjazmem. Przeciwnie, spotkał się z jawnym odporem wymienionych osób. Przebrzmiała krótka palba, w czasie której wyjaśniono, że czas przerwy obiadowej dawno już minął.

– Pozwolę sobie wyrazić pogląd – podsumował Ławr Fiedotowicz – że czas już na odpoczynek i obiad. Posiedzenie Trójki zawiesza się do godziny osiemnastej zero zero. – A waszego krokodyla, towarzyszu Zubo – zwrócił się do komendanta dobrodusznie i z wyższością – weźmiemy i oddamy do zoo. Co o tym sądzicie?

– Ach! – odrzekł bohatersko komendant. – Ławrze Fiedotowiczu! Towarzyszu Winiukow! Na miłość boską... Panienko najświętsza... nie mamy przecież ogrodu zoologicznego!

– To będzie! – obiecał Ławr Fiedotowicz. – Zwykły ogród jest, ogródek jordanowski jest, to zoologiczny też będzie – zażartował po chwili demokratycznie. Trójka trójcę lubi.

Wybuch przedobiedniego śmiechu pobudził Kuźmę do kolejnego nietaktu.

Ławr Fiedotowicz włożył do teczki rekwizyty przewodniczącego, podniósł się zza stołu i ruszył powoli do wyjścia. Chlebowwodow i Wybiegałło potracili zaziewanego Farfurkisa i rzucili się, odpychając się wzajemnie, aby otworzyć drzwi przed towarzyszem przewodniczącym.

– Befszyk to mięso – uprzejmie poinformował ich Ławr Fiedotowicz.

– Z krwią! – marzycielsko wykrzyknął Chlebowwodow.

– A po co z krwią? – usłyszeliśmy dochodzący już z poczekalni głos Ławra Fiedotowicza.

Otworzyłem wraz z Edikiem wszystkie okna.

– Nie, no, wybaczcie Ławrze Fiedotowiczu... Befszyk bez krwi to gorsze niż wypić i nie zakąsić... Nauka twierdzi, że... tego... z kostką, znaczy się... Społeczeństwo lubi dobre mięso... na przykład, befsztyki... – dobiegło ze schodów.

– Do grobu mnie wpędzą – rzekł zatroskany komendant. – Kara boska na mnie, głód, powietrze morowe i siedem plag egipskich...

Sprawa nr 15

I sesja wyjazdowa

Wieczorne posiedzenie nie odbyło się. Zostaliśmy oficjalnie poinformowani, że Ławr Fiedotowicz oraz towarzysze Chlebowwodow i Wybiegałło zatruli się grzybami i lekarz polecił im poleżeć do jutra. Jednakże skrupulatny komendant nie dowierzał oficjalnej wersji wypadków. W naszej obecności zadzwonił do restauracji hotelowej i porozumiał się ze swoim kumem, maitre d'hotel'em. I cóż? Okazało się, że podczas obiadu Ławr Fiedotowicz i profesor Wybiegałło w praktycznej dyskusji na temat przewagi przysmażonego befsztyka nad befsztykiem z krwią, pragnąc wyjaśnić na przykładzie, który z tych rodzajów befsztyka jest bardziej lubiany przez społeczeństwo, skonsumowali na koszt szefa kuchni pod koniaczek i pilznera po cztery eksperymentalne porcje. W chwili obecnej leżą placikiem i do rana nie mogą się pokazać nikomu na oczy.

Komendant szalał z radości jak uczeń, któremu nieoczekiwanie przed klasówką rozchorował się ciężko nauczyciel.

Pożegnaliśmy się z nim, kupiliśmy po porcji lodów i wróciliśmy do hotelu. Cały wieczór przesiedzieliśmy w pokoju, rozpatrując nasze położenie. Edik przyznał, że Christobal Hozewicz miał rację. Trójka to twardszy do zgryzienia orzech,

niż przypuszczaliśmy. Racjonalna strona ich psychiki okazała się niesłuchanie konserwatywna i wielce oporna. Co prawda poddawała się działaniu silnego remoralizującego pola, ale gdy tylko je wyłączaliśmy, wracała natychmiast do stanu poprzedniego. zaproponowałem Edikowi, by w ogóle pola nie wyłączać, ale odrzucił tę propozycję. Zapasy rozumnego, dobrego i wiecznego miała Trójka zdecydowanie ograniczone i przedłużenie o sekundę działania pola groziło powrotem do poprzedniego stanu. Nasze zadanie polega na tym – powiedział Edik – żeby nauczyć ich myśleć. Oni jednak nie chcą się uczyć. Ci kanalizatorzy oduczuli się uczenia. Na szczęście nie wszystko stracone. Pozostała jeszcze emocjonalna strona psychiki, sfera uczuć. Jeśli nie udaje się rozbudzić w nich umysłu, trzeba spróbować rozbudzić sumienie. I właśnie tym Edik zamierza się zająć na kolejnym posiedzeniu.

Rozpatrywaliśmy ten problem, dopóki nie włądował się do nas bez pukania zdenerwowany Pluskwa. Złożył podanie, aby Trójka przyjęła go poza kolejnością i rozpatrzyła jego propozycję. Dopiero co otrzymał od komendanta wezwanie, a teraz zajrzał, żeby zobaczyć, czy będziemy na jutrzejszym rannym posiedzeniu. Obiecuje, że będzie to posiedzenie historyczne. Jutro wszystko zrozumiemy. Jutro dowiemy się, o co chodzi. Kiedy wdzięczna ludzkość zacznie go nosić na rękach, nie zapomni o nas. Krzyczał, wymachiwał łapkami, biegał po ścianach i przeszkadzał Edikowi w koncentracji. Byłem zmuszony wziąć go za kołnierz i wyrzucić na korytarz. Nawet się nie obraził. Był ponad to. Jutro się wszystko wyjaśni, obiecał, zapytał o numer apartamentu Chlebowwodowa i zniknął. Położyłem się spać, a Edik rozłożył na stole gazetę i długo ślęczał nad rozebranyrem moralizatorem.

Gdy wezwano Gadacza, nie od razu wszedł do sali posiedzeń. Słychać było, jak kłóci się w poczekalni z komendantem, żądając jakiegoś tam ceremoniału, szczególnego uszanowania, a także warty honorowej. Edik zaczął się denerwować.

Byłem zmuszony wyjść do poczekalni i powiedzieć Pluskwie, żeby przestał się wygłupiać, bo będzie źle.

– Żądam, żeby zrobił trzy kroki naprzeciw! – żołądkował się Pluskwa. – Niech nie będzie warty, ale jakieś elementarne zasady chyba obowiązują! Nie żądam nawet, żeby spotykał mnie w drzwiach... Niech zrobi trzy kroki do przodu i zdejmie kapelusz!

– O kim ty mówisz? – spytałem zmieszany.

– Jak to o kim? O tym waszym... kto tam jest waszym szefem? Winiukow?

– Bałwan! – syknąłem. – Chcesz, żeby cię wysłuchano, to idź prędko! Daję ci trzydzieści sekund!

Gadacz poddał się. Mrucząc coś o naruszeniu podstawowych zasad, wszedł do sali obrad i impertynencko, nikomu się nie kłaniając, rozwałił się na stole demonstracyjnym. Ławr Fiedotowicz podniósł lornetkę i mętными, pożółkłymi po wczorajszym oczami zaczął oglądać Pluskwę. Chlebowwodowi jeszcze odbijało się wczorajszym obiadem.

– No i o czym mamy z nim gadać? – wystękał. Przecież wszystko już zostało powiedziane... Głowę nam tylko zawraca.

– Momencik – powiedział Farfurkis dumny i różowy jak zawsze. – Obywatelu Gadacz – zwrócił się do Pluskwy. – Trójka uznała za możliwe przyjęcie was wbrew procedurze i zgodziła się wysłuchać waszego, jak piszecie, nadzwyczajnej wagi oświadczenia. Trójka zwraca się do was o w miarę możliwości zwięzłość wypowiedzi i niezabieranie nam drogiego czasu. Co pragniecie nam oświadczyć? Słuchamy was.

Gadacz zrobił kilkusekundową aktorską pauzę. Potem głośno wsunął nogi pod siebie, przyjął dumną pozę i nadał policzki.

– Historia rodu ludzkiego – rozpoczął – skrywa na swoich kartach niemało haniebnych świadectw barbarzyństwa i nieroztropności. Wulgarny, ciemny żołąk zamordował Archimedes. Podli zakonnicy spalili Giordano Bruno. Rozwydrzeni fanatycy zatruwali życie Charlesa Darwina i Galilei. Historia pluskiew również zawiera fakty, mówiące

o ofiarach ciemnoty i obskurantyzmu. Wszyscy świetnie pamiętają męczarnie genialnej pluskwy-encyklopedysty Sapukła, który wskazał naszym przodkom, trawiastym i drzewnym pluskwom, świetlaną przyszłość, drogę wielkiego postępu. W nędzy i zapomnieniu zakończyli swoje dni: Imperutor, twórca teorii grup krwi, Raksefob, który rozwiązał zagadnienie płodności, Pulp, który odkrył anabiozę. Barbarzyństwo i ciemnota obu naszych plemion musiała wycisnąć i rzeczywiście wycisnęła swoje fatalne piętno na naszych wzajemnych stosunkach. Dawno już umarły idee genialnej pluskwy-utopisty Płatuna, który przepowiedział ideę symbiozy pluskwy i człowieka. Widział on przyszłość rodu pluskiew nie na odwiecznej drodze pasożytnictwa, a na świetlanej drodze przyjaźni i wzajemnej współpracy. Znamy wypadki, kiedy człowiek proponował pluskwom pokój, obronę i braterskie stosunki, występując pod sztandarem: „Wy i my jesteśmy jednej krwi”, ale chciwe, wiecznie głodne pluskwiane masy zignorowały to wezwanie, głosząc bezmyślnie: „Piliśmy, pijemy, będziemy pić”. – Gadacz jednym haustem pochłoniął szklankę wody i oblażał się. – Dziś po raz pierwszy w historii – podjął niczym na mityngu – stoimy wobec sytuacji, kiedy pluskwa proponuje człowiekowi pokój, obronę i braterstwo stosunków, żądając w zamian tylko uznania swego rodu. Po raz pierwszy pluskwa znalazła wspólny język z człowiekiem. Po raz pierwszy pluskwa spotyka się z człowiekiem nie w łóżku, a za stołem rozmów. Po raz pierwszy pluskwa nie pragnie dóbr materialnych, a duchowego kontaktu. Czyż na zakręcie historii, przed wielkim zwrotem, który być może wzniesie oba ludy na niedosiężną wysokość, będziemy drepnąć w niepewności, iść na postronku ciemnoty i wzajemnej wrogości, odrzucać oczywistość i odmawiać uznania jawnego cudu? Ja, Gadacz Pluskwa, jedyna mówiąca pluskwa we wszechświecie, jedyne ogniwo między naszymi plemionami, mówię do was w imieniu setek milionów: opamiętajcie się! Odrzućcie przesady, zdepczcie gnuśność, zbierzcie w sobie wszystko co dobre i rozumne, i otwartymi, jasnymi oczami

spójrzcie w twarz wielkiej prawdzie. Mówiąca Pluskwa to postać wyjątkowa, niewyjaśnione zjawisko, może nawet nie do wyjaśnienia.

Pyszalkowatość tego insekta mogła wstrząsnąć nawet najbardziej wybujałą wyobraźnią. Czułem, że to się dobrze nie skończy i stuknąłem Edika łokciem, żeby był gotów. Pozostawała co prawda nadzieja, że stan niedyspozycji żołądkowej, na którą cierpiała większa i lepsza część Trójki, przeszkodzi wybuchowi namiętności. Dobrze się też składało, że nieobecny był Wybiegałło, który obzał się do ostatecznych granic. Ławr Fiedotowicz miał mdłości, był błydy i niemiłosiernie się pocił, Farfurkis nie wiedział, na co się zdecydować. Z niepokojem spoglądałem w jego stronę i już myślałem, że wszystko jest w porządku, gdy nagle odezwał się Chlebowwodow.

– „Piliśmy, pijemy i będziemy pić”... O kim to?... O nas mówi, nikkzemnik! Krew naszą! Krew serdeczną! A! – rzucił dzikie spojrzenie. – Ja go zaraz paznokciami!... Nocą człowiekowi spać nie dają, a teraz i w dzień! Dręczyciele! – I zaczął się wściekle drapać.

Gadacz przestraszył się trochę, jednak nie stracił godności. Kątem oka wypatrywał jednak na wszelki wypadek jakiejś szpary. W sali rozszedł się mocny zapach drogiego koniaku.

– Krwio pijcy! – wychrypiał Chlebowwodow, potem poderwał się i rzucił naprzód. Serce mi zamarło. Edik chwycił mnie za rękę. On też się przestraszył. Gadacz aż przysiadł z przerażenia. Ale trzymający się za brzuch Chlebowwodow, przemknął obok stołu demonstracyjnego, otworzył drzwi i zniknął. Słysząc było, jak stuka obcasami po schodach. Gadacz wytarł zimny pot z czoła i bezsilnie opuścił wąsy.

– Grrry – przemówił smutno Ławr Fiedotowicz. – Kto jeszcze prosi o głos?

– Pozwólcie mnie – rzekł Farfurkis. Zrozumiałem, że maszyna zadziałała. – Oświadczenie obywatela Gadacza wywarło na mnie zupełnie osobliwe wrażenie. Jestem szczerze

i głęboko oburzony. Nie chodzi już nawet o to, że obywatel Gadacz fałszywie interpretuje historię ludzkości jako dzieje cierpień wybitnych jednostek. Niech mówca rozpatrzy we własnym sumieniu swoje absolutnie pozbawione samokrytycyzmu sądy o samym sobie. Ale jego propozycje, jego idea związku... Nawet myśl o takim związku brzmi, moim zdaniem, obraźliwie i bluźnierczo. Za kogo nas uważacie, obywatelu Gadacz? A może to wasze uwłaczanie jest celowe? Ja osobiście kwalifikuję je jako celowe! Poza tym, przejrzałem właśnie materiały z poprzedniego posiedzenia w sprawie obywatela Gadacza i przekonałem się ze smutkiem, że brakuje w nich absolutnie niezbędnego określenia w tej kwestii. To jest, towarzysze, nasz błąd, to my, towarzysze, przeliczyliśmy się. Musimy jak najprędzej ten błąd naprawić. Co mam na myśli? Myślę, że mamy tu do czynienia z gadającym pasożytem, to znaczy wałkoniem, nigdzie nie pracującym darmozjadem, zdobywającym środki utrzymania w wysoce podejrzany sposób. W sposób, który w pełni można kwalifikować jako przestępczy...

W tej sekundzie na progu pojawił się wymęczony Chlebowwodow. Przechodząc obok Gadacza, zamierzył się na niego pięścią. – A żeż ty bydlę nieogoniaste, szczęcionogie!... - wymamrotał.

Gadacz wcisnął tylko głowę w ramiona. Zrozumiał w końcu, że z nim źle.

– Sasza, wymyśl coś... – szepnął w panice Edik. – Coś mi się zacięło...

– Uwłaczanie ludzkości – kontynuował Farfurkis – uwłaczanie odpowiedzialnemu organowi to typowe pasożytnictwo, dla którego miejsce jest tylko za kratkami. Czy to nie wystarczy, towarzysze? Czy nie przejawiamy aby braku energii, zbytnej ustępliwości, burżuazyjnego liberalizmu i abstrakcyjnego humanizmu? Nie wiem jeszcze, co myślą na ten temat moi szanowni koledzy, nie wiem, co zostanie postanowione w tej kwestii, jednakże jako człowiek z natury spokojny i pryncypialny pozwolę sobie zwrócić się do was, obywatelu Gadacz,

z wyrazami ostrzeżenia. Fakt, że wy, obywatelu Gadacz, nauczyliście się mówić, a właściwie bełkotać po rosyjsku, przez jakiś czas może powstrzymać nas przed podjęciem decyzji w trybie doraźnym. Ale strzeżcie się! Nie przeciągajcie zbyt-
nio struny!

– Zadławić go, pasożyta! – wychrypiał Chlebowwodow. – Ot, ja go zaraz zapalą... – Zaczął nerwowo obmacywać kieszenie.

Gadacz był blady jak śmierć. Edik gmerał histerycznie w remoralizatorze. A ja wciąż nie mogłem znaleźć wyjścia z tej ślepej uliczki.

– Nie, nie, towarzyszu Chlebowwodow – przemówił Farfurkis, krzywiąc z odrazą twarz. – Jestem przeciwny bezprawnym posunięciom. Cóż to za lincz? Nie jesteśmy na szczęście w Texasie. Należy wszystko uprawomocnić. Przede wszystkim, jeśli Ławr Fiedotowicz nie ma nic przeciwko temu, należy zracjonalizować obywatela Gadacza jako zjawisko niewyjaśnione, a co z tego wynika, podlegające naszym kompetencjom.

Na te słowa głupi Gadacz rozpromienił się. O, potego pychy!

– Dalej – kontynuował Farfurkis – powinniśmy zakwalifikować zracjonalizowane, niewyjaśnione zjawisko jako szkodliwe, i jak z tego wynika, podlegające w procesie utylizacji spisaniu. Sformułujemy dokument na przykład tak: akt o spisaniu mówiącego pluskwy, nazywanego poniżej Gadaczem...

– Słusznie – wychrypiał Chlebowwodow. – Pieczęcią go!

– To samowola! – pisnął słabo Gadacz.

– O, przepraszam! – krzyknął Farfurkis. – Co to znaczy – samowola? Spisujemy was zgodnie z paragrafem siedemdziesiątym czwartym załącznika o spisywaniu na straty, gdzie zupełnie wyraźnie jest powiedziane...

– Mimo to samowola! – krzyknął Pluskwa. – Oprawcy! Żandarmi!

Nagle olśniła mnie myśl.

– Wybaczcie Ławrze Fiedotowiczu! – powiedziałem. – Wtrąćcie się, bardzo proszę! Toż to marnotrawstwo kadr!

– Hrrrm – prawie niedosłyszalnie odrzekł Ławr Fiedotowicz. Miał takie mdłości, że było mu wszystko jedno.

– Słyszycie? – zwróciłem się do Farfurkisa. – Ławr Fiedotowicz ma świętą rację! Trzeba mniej uwagi zwracać na formę, a baczniej uważać na treść. Nasze urażone uczucia nie mają nic wspólnego z interesami ogółu. Cóż to za jakiś administracyjny sentymentalizm? Czy jesteśmy w pensji dla dobrze urodzonych panienek, albo na kursie podnoszenia kwalifikacji?... Istotnie, obywatel Gadacz pozwala sobie na impertynencje, używa także wątpliwych porównań. Rzeczywiście, obywatelowi Gadaczowi wiele brakuje do doskonałości. Ale czy to ma znaczyć, że za nieużyteczność powinniśmy go spisać? I cóż, towarzyszu Farfurkis? Może jesteście w stanie wyciągnąć z kieszeni drugą gadającą pluskwę? A może wśród waszych znajomych znajdują się inne mówiące pluskwy? Skąd taka wielkopańskość, takie fanaberie? „Nie podoba mi się mówiący pluskwa, no to spiszemy mówiącego pluskwę...” A wy, towarzyszu Chlebowwodow? Tak, widzę że musieliście się wiele nacierpieć przez pluskwy. Głęboko wam współczuję, ale pytam: może odkryliście sposób na skuteczną walkę z tymi pasożytami? Z tymi piratami łóżek, z tymi gangsterami społecznych snów, z tymi wampirami zapuszczonych hoteli?...

– To właśnie mówię – rzekł Chlebowwodow. – Zgnieść drania bez żadnych dyskusji... A to akty jakieś...

– Nie-e-e, towarzyszu Chlebowwodow! Nie pozwolimy, by wykorzystując nieobecność naukowego konsultanta wprowadzono tu i zamiast metod naukowo-administracyjnych stosowano metody wulgarno-administracyjne. Nie pozwolimy zatriumfować woluntaryzmowi i subiektywizmowi. Czy nie rozumiecie, że obecny tu obywatel Gadacz przedstawia sobą jedyną do tej pory możliwość rozpoczęcia pracy wychowawczej wśród tych rozbestwionych pasożytów? W swoim czasie jakiś domorosły pluskwiany talent doprowadził pluskwy wegetarianki do ich obecnego szkaradnego *modus vivendi*. Czyż w takim razie nasz współczesny, wykształcony, wzbogacony

całą potęgą teorii i praktyki pluskwa nie byłby w stanie dokonać odwrotnego przewrotu? Zaopatrzony w starannie opracowane instrukcje, uzbrojony w najnowsze osiągnięcia pedagogiki, czując moralne oparcie w całej postępowej ludzkości, czyż nie stanie się on archimedesową maszyną, za pomocą której będziemy w stanie zawrócić całą historię pluskiew wstecz, w lasy i trawy, na łono przyrody do czystego i niewinnego bytowania? Zwracam się do was z prośbą, by komisja przyjęła do wiadomości te uwagi i starannie je przemyślała.

Usiadłem. Błady z wrażenia Edik pokazał mi wzniesiony kiuk. Gadacz klęczał. Jak się wydawało, gorąco się modlił. Porażona mym oratorstwem Trójka milczała jak kamień. Farfurkis patrzył na mnie z radosnym zdumieniem. Widać było, że uważa moją ideę za genialną i obmyśla teraz gorączkowo drogi zdobycia kluczowych pozycji w tym niesłychanym przedsięwzięciu. Oczami duszy widział, jak zestawia obszerną, szczegółową instrukcję, już miał przed oczami nieskończoną ilość artykułów, paragrafów i załączników. Widział, jak prowadzi posiedzenia z Gadaczem, jak organizuje kursy języka rosyjskiego dla wyjątkowo uzdolnionych pluskiew, mianował się też przewodniczącym Państwowego Komitetu Propagandy Wegetarianizmu wśród Krwiożerczych, komitetu, którego działalność zostanie rozszerzona na pchły, muszki, gzy i komary.

– Trawiaste pluskwy to też żadna rozkosz... – warknął konserwatywny Chlebowwodow. Poddał się już, ale nie chcąc się do tego przyznać, czepiał się szczegółów.

Wzruszyłem ramionami ostentacyjnie.

– Towarzysz Chlebowwodow myśli wąskimi kategoriami – sprzeciwił się Farfurkis, wyskakując w ten sposób na kilka kroków przed szereg.

– Wcale nie wąskimi – zaprotestował Chlebowwodow. – Nawet bardzo szerokimi... tymi, jak ich tam... Aż je czuć! Ale rozumiem, że trzeba będzie dopracować to w działaniu. Czy można polegać na tym, jak mu tam... Jakiś taki niepoważny... i zasług żadnych nie ma...

– Wnoszę wniosek – rzekł Edik. – Można utworzyć podkomisję dla rozpatrzenia tego problemu, z towarzyszem Farfurkiszem jako przewodniczącym. Na stanowisko roboczego zastępcy proponuję towarzysza Priwałowa, osobę niezainteresowaną i obiektywną.

Wtem podniósł się Ławr Fiedotowicz. Gołym okiem widać było, jak bardzo cierpi. Przez jego zazwyczaj kamienne oblicze przeświecała zwyczajna ludzka słabość. Na granicy zrobiła się rysa, bastion troszeczkę się przekrzywił, ale mimo to stał potężny i nieprzenikniony.

– Naród... – zaczął bastion, przytykając oczy cierpiętniczo. – Naród nie lubi zamykać się w czterech ścianach. Narodowi potrzebna jest przestrzeń. Narodowi potrzebne są pola i rzeki. Narodowi potrzebny jest wiatr i słońce...

– I księżyc – dodał Chlebowwodow, z oddaniem wpatrując się w bastion.

– I księżyc – potwierdził Ławr Fiedotowicz. – Należy strzec zdrowia narodu, ponieważ należy ono do narodu. Narodowi potrzebna jest praca na świeżym powietrzu. Narodowi jest duszno bez świeżego powietrza...

Niczego jeszcze nie rozumieliśmy, nawet Chlebowwodow błędził w domysłach, ale przenikliwy Farfurkis już zebrał papiery, zapakował zapisany zeszyt i coś zaszeptał komendantowi. Komendant kiwnął głową.

– Czy naród lubi chodzić piechotą czy jeździć samochodem? – zapytał z uszanowaniem.

– Naród – rzekł Ławr Fiedotowicz – woli jeździć odkrytym samochodem. Wyrażając powszechny pogląd, proponuję przełożyć niniejsze posiedzenie, a teraz odbyć wyznaczoną na wieczór sesję wyjazdową, poświęconą ustalonym sprawom. Zabezpieczcie, towarzyszu Zubo, co należy.

Ławr Fiedotowicz opadł ciężko na fotel. Zaczęła się bieganina. Komendant pobiegł wezwać samochód. Chlebowwodow poił Ławra Fiedotowicza wodą mineralną, a Farfurkis zabrał się do wyciągania z sejfu odpowiednich akt. Korzystając z bałaganu, chwyciłem Gadacza za nogę i wyrzuciłem

w diabły. Nawet nie protestował. Ostatnie przeżycia wstrząsnęły nim do najwyższych granic.

Gdy podstawiono samochód, Ławra Fiedotowicza wyprowadzono pod ręce i troskliwie umieszczono na przednim siedzeniu. Chlebowwodow, Farfurkis i komendant, rozpychając się i fukając na siebie, okupowali tylne siedzenie.

– Samochód pięcioosobowy – z zaniepokojeniem powiedział Edik. – Nie zabiorą nas.

Stwierdziłem, że nie widzę w tym nic złego. Jeśli o mnie chodzi, nagałem się na miesiąc z góry. Nie ma się co wysilać. Za tysiąc lat nie damy sobie z nimi rady. Uratowaliśmy głupiego Pluskwę, i dobrze, a teraz idziemy się wykapać. Jednakże Edik stwierdził, że nie pójdzie się kąpać. Chce spróbować podążyć niewidzialnie za samochodem i przeprowadzić jeszcze jeden seans – pod otwartym niebem. Ostatecznie, może nawet lepiej...

Wtem w samochodzie podniósł się krzyk. To Farfurkis pożarł się z Chlebowwodowem. Chlebowwodow, któremu zrobiło się gorzej od zapachu benzyny, żądał natychmiastowego odjazdu. Krzyczał przy tym, że naród lubi szybką jazdę. Farfurkis, czując się jedynym w samochodzie zdolnym do pracy człowiekiem, twierdził, że obecność postronnego i niesprawdzonego kierowcy przekształca zamknięte posiedzenie w otwarte. Poza tym, zgodnie z przepisami, posiedzenia nie mogą się odbywać podczas nieobecności naukowego konsultanta, a jeśli się odbywają, zostają uznane za nieodbyte.

– Jakież kłopoty? – zapytał Ławr Fiedotowicz odrobinę silniejszym głosem. – Usuńcie, towarzyszu Farfurkis.

Zachęcony Farfurkis zapalczywie zabrał się do usuwania. Nie zdążyłem nawet mrugnąć okiem, jak dokooptowano mnie w charakterze p.o. naukowego konsultanta, kierowcę zwolniono, a ja siedziałem na jego miejscu.

– Dobrze, dobrze – szeptał mi w ucho niewidzialny Edik. – Może mi jeszcze pomożesz...

Denerwowałem się i rozglądałem wkoło. Siedzieć z tą czerdą w zamkniętym pomieszczeniu, to jedno, a wystawiać się na widok publiczny, to zupełnie co innego.

– Jechać by... – jęczał Chlebowwodow. – Z wiaterkim by...

– Hrrrm – powiedział Ławr Fiedotowicz. – Jest wniosek, by jechać. Są inne propozycje?... Kierowca, jedziemy.

Włączyłem silnik i ruszyłem ostrożnie, przebijając się przez tłum dzieciaków.

Z początku Farfurkis straszliwie dokuczał mi radami. To radził zatrzymać się tam, gdzie zabroniony był postój, to radził zwolnić i przypominał o wartości życia Ławra Fiedotowicza. To żądał, bym jechał szybciej, ponieważ wiatr niedostatecznie owiewa czoło Ławra Fiedotowicza, to domagał się, abym nie zwracał uwagi na sygnały świetlne, albowiem podrywa to autorytet Trójki... Jednakże, gdy minęliśmy białe Tmuskorpiońskie Czeremuszki i wyjechaliśmy za miasto, kiedy ujrzeliśmy zielone pola, a w oddali błękit jeziora, kiedy samochód podskoczył na żwirowych wybojach, zapadła kojąca cisza. Wszyscy nadstawili twarze pod wiatr i mrużyli oczy od słońca. Wszystkim było dobrze. Ławr Fiedotowicz zapalił pierwszego dziś papierosa, Chlebowwodow zanucił cicho jakąś furmańską piosnkę, komendant drzemał, przyciskając do piersi teczkę z aktami, i tylko Farfurkis po krótkiej walce z samym sobą znalazł tyle sił, by poradzić sobie z niemocą. Rozłożył mapę Tmuskorpionu z okolicami, wyznaczył pracowicie marszrutę, która okazała się niewykonalna, gdyż zapomniał, że mamy samochód, a nie helikopter. Zaproponowałem mu swoją wersję: jezioro-bagno-wzgórze. Przy jeziorze mieliśmy rozpatrzeć sprawę plezjozaura, na bagnach racjonalizować i przeprowadzić utylizację występujących tam pohukiwań, na wzgórzu przeprowadzić inspekcję tak zwanego zaczarowanego miejsca. Ku mojemu zdziwieniu, Farfurkis nie protestował. Okazało się, że w pełni dowierza mojej intuicji. Więcej nawet, zawsze miał wysokie mniemanie o moich zdolnościach. Będzie mu bardzo przyjemnie pracować ze mną w pluskwianej podkomisji, od dawna zwraca na mnie uwagę, w ogóle zwraca uwagę na naszą cudowną, utalentowaną młodzież. Zawsze z sercem

podchodzi do młodzieży, choć nie przymyka oczu na jej niedostatki. Współczesna młodzież mało walczy, zwraca niewielką uwagę na walkę, nie dąży do wzmocnienia walki. Walki o to, by walka rzeczywiście stała się sprawą zasadniczą, pierwszorzędnym zadaniem całej walki. Przecież jeśli ona, nasza cudowna, utalentowana młodzież będzie nadal tak mało walczyć, to będzie mieć mało szans w tej walce, nie zostanie prawdziwą walczącą młodzieżą, zawsze zajęta walką o to, żeby zostać prawdziwym bojownikiem, który walczy o to, żeby walka...

Plezjozaura zobaczyliśmy już z daleka. Coś podobnego do rączki od parasola sterczało z wody dwa kilometry od brzegu. Podprowadziłem samochód i stanąłem. Farfurkis ciągle jeszcze w imię walki o walczącą młodzież walczył z gramatyką, gdy Chlebowwodow wyskoczył gwałtownie z samochodu i otworzył drzwi obok Ławra Fiedotowicza. Jednakże Ławr Fiedotowicz nie życzył sobie wychodzić. Spojrzał łaskawie na Chlebowwodowa i ogłosił, że w jeziorze jest woda, że posiedzenie sesji wyjazdowej Trójki uważa za otwarte, a głosu udziela się towarzyszowi Zubo.

Komisja rozłożyła się na trawce obok samochodu. Zapanaował nastrój błogiego rozleniwienia. Farfurkis porozpinał się, ja zdjąłem nawet koszulę, żeby nie tracić okazji opalenia się. Komendant, opuszczając co chwilę punkty, zaczął odbębniać ankietę plezjozaura o przezwisku Lizawieta. Nikt go nie słuchał. Ławr Fiedotowicz w zadumie oglądał jezioro, jakby oceniał, czy potrzebne jest narodowi, Chlebowwodow opowiadał Farfurkisowi półgłosem, jak pracował w charakterze przewodniczącego kołchozu imienia Teatru Muzkomedii i otrzymywał po piętnaście prosiąt z jednej maciory. Dwadzieścia kroków od nas szumiały łąny owsa, po odległych polach kroczyły krowy, więc ukłon w stronę tematyki rolniczej był w pełni usprawiedliwiony.

Gdy komendant odczytał krótką charakterystykę plezjozaura, Chlebowwodow zrobił cenną uwagę, że jaszczur to niebezpieczna choroba bydła, i należy się tylko dziwić, że pływa

tu na wolności. Przez jakiś czas wraz z Farfurkiszem wbijaliśmy mu do głowy leniwie, że jaszczur to jedno, a jaszczur, czyli przyszczyca to coś zupełnie innego. Chlebowwodow jednakże upierał się przy swoim, powoływał się na pismo „Ogoniok”, gdzie wielokrotnie zupełnie jasno wzmiankowano o jakimś kopalnym jaszczurze.

– Wy mnie nie zbijajcie z pantałyku – mówił. – Jestem człowiekiem odczytanym, choć bez wyższego wykształcenia.

Farfurkis nie uważał się za dostatecznie kompetentnego, więc zaprzestał dyskusji, ja zaś próbowałem kontynuować, dopóki Chlebowwodow nie rzucił propozycji, by zawezwać plezjozaura i zapytać go samego.

– Ona nie umie mówić – stwierdził komendant, który przysiadł w kucki obok nas.

– Nie szkodzi, i tak się zorientujemy – odrzekł Chlebowwodow. – I tak trzeba ją wezwać. Niech jakiś pożytek z tego będzie.

– Hrrrm – powiedział Ławr Fiedotowicz. – Czy są pytania do referenta? Brak pytań? Zawezwijcie sprawę, towarzyszu Zubo.

Komendant poderwał się i zaczął się ciskać po brzegu. Najpierw łamiącym się głosem krzyczał: „Lizka! Lizka!”, ale ponieważ plezjozaur niczego najwyraźniej nie słyszał, zerwał z siebie marynarkę i zaczął nią wymachiwać jak rozbitek widzący żagiel na horyzoncie. Lizka nie dawała żadnych oznak życia.

– Śpi – orzekł zrozpaczony komendant. – Okoni się nazała i śpi...

Jeszcze trochę pobiegał i pomachał, a potem poprosił, żebym zatrąbił. Włączyłem klakson. Ławr Fiedotowicz wychylił się nieco z samochodu i patrzył na plezjozaura przez lornetkę. Trąbiłem około dwóch minut, a potem powiedziałem, że nie warto wyładowywać akumulatora. Sprawa wydawała się beznadziejna.

– Towarzyszu Zubo – rzekł Ławr Fiedotowicz, nie opuszczając lornetki. Dlaczego wezwany nie reaguje?

Komendant pobladł i stracił język w gębie.

– Dyscyplina u was w gospodarstwie szwankuje – zabrał głos Chlebowwodow. – Rozpuściliście podopiecznych.

Komendant rozdziawił usta i zaczął miąć na sobie koszulę.

– To podrywanie autorytetu – zauważył poważnie Farfurkis. – Nocą się śpi, a w dzień trzeba pracować.

Zrozpaczony komendant zaczął się rozbierać. W rzeczy samej nie miał innego wyjścia. Zapytałem go, czy umie pływać, Chlebowwodow stwierdził krwiożerczo, że nieważne. „Na dętym autorytecie wypłynie”. Ostrożnie wyraziłem wątpliwość o celowości podjętych działań. Komendant bez wątpienia utonie, powiedziałem. Czy jest rzeczą niezbędną, by Trójka brała na swoje barki nieprzynależne jej funkcje, zastępując wodne pogotowie ratunkowe? Prócz tego, wspomniałem, w wypadku utonięcia komendanta, zadanie nie zostanie wypełnione i wówczas przyjdzie płynąć albo Farfurkisowi, albo Chlebowwodowi. Farfurkis zaoponował twierdząc, że wzywanie sprawy należy do obowiązków i prerogatyw przedstawiciela miejskiej administracji, a w wypadku nieobecności takowego należy do funkcji konsultanta naukowego, w związku z czym traktuje moje słowa jako wycieczkę osobistą i próbę zwalania obowiązków na cudzą głowę. Stwierdziłem, że w danym wypadku jestem nie tyle konsultantem naukowym, ile kierowcą służbowego samochodu, od którego nie mam prawa oddalić się dalej niż na dwadzieścia kroków.

– Powinniście znać załącznik do Regulaminu Ruchu Drogowego – powiedziałem, niczym nie ryzykując. – Paragraf dwudziesty pierwszy.

Zapadła głęboka cisza. Czarna rączka od parasola nadal nieruchomo majaczyła na horyzoncie. Z drżeniem serca obserwowaliśmy, jak podobna do trójłufowej wieży okrętu wojennego głowa Ławra Fiedotowicza obraca się powoli. Wszyscy siedzieliśmy na jednej tratwie i nikt z nas nie życzył sobie salwy.

– Ojczy nasz... – nie wytrzymał, klęczący w samej bieleźnie komendant. – Świeć się imię Twoje... Nie boję się płynąć i utonąć się nie boję!... Ale tego-to, Lizce tego... Paszczę ma jak królestwo twoje! Ona krowę potrafi połknąć jak pesteczkę! Przez sen nawet...

– W końcu – odezwał się odrobinę zdenerwowany Farfurkis – po co ją wzywać? Ostatecznie stąd też widać, że nie posiada żadnej wartości. Proponuję ją zracjonalizować i z powodu nieużyteczności spisać...

– Spisać ją, cholere – podchwycił radośnie Chlebowwodow. – Patrzcie ją, krowę może połknąć! Też mi sensacja! Krowę to i ja mogę połknąć, ale uzyskaj tę krowę... piętnaście prosiąt, rozumiesz, uzyskaj! To jest praca!

Ławr Fiedotowicz użył w końcu największego kalibru. Jednakże zamiast bandy nienawidzących się indywiduów, zamiast kipieli przeciwstawnych namiętności, zamiast niezdiscyplinowanych, podrywających autorytet Trójki robaków, zauważył przed sobą w polu rażenia zwarty pracowniczy kolektyw przepełnionych entuzjazmem i pracowitością współpracowników, płonących jednym pragnieniem: spisać cholere Lizkę i przejść do kolejnej sprawy. Salwa nie padła. Wieża artyleryjska przekręciła się w przeciwną stronę i potworne paszcze dział wyszukały na horyzoncie niczego nie podejrzewającą rączkę od parasola.

– Naród – doleciało z kapitańskiego mostka. – Naród patrzy w dal. Te plezjozaury są narodowi...

– Niepotrzebne! – wypalił z małego kalibru Chlebowwodow i spudłował. Okazało się, że te plezjozaury są potrzebne narodowi, że pewni członkowie Trójki stracili wyczucie perspektywy, że pewni komendanci zapomnieli widocznie, czyj chleb jedzą, że pewni przedstawiciele naszej sławnej inteligencji naukowej wykazują skłonność do patrzenia na świat przez czarne okulary. Sprawa numer osiem do czasu wyjaśnienia powinna być odłożona i rozpatrzona w którymś z zimowych miesięcy, kiedy będzie się można do niej dostać po lodzie. Innych propozycji nie było, pytań do referenta tym bardziej. I na tym stanęło.

– Przejdziemy do kolejnego problemu – ogłosił Ławr Fiedotowicz i rozpychający się członkowie Trójki podążyli na tylne siedzenie. Komendant ubierał się pośpiesznie. – Ja ci to przypomnę... Najlepsze kąski dawałem... jak rodzoną córkę... Bydle wodopływające... – mamrotał.

Ruszyliśmy po wiejskiej drodze, biegnącej wzdłuż jeziora. Droga była fatalna i dziękowałem Bogu, że lato mamy bezdeszczowe, gdyż inaczej byłoby z nami krucho. Jednakże chwaliłem Boga przedwcześnie. W miarę zbliżania się do bagna droga coraz częściej wykazywała tendencję zaniku i przekształcała się w dwie porośnięte turzycą koleiny. Włączyłem bieg terenowy i oceniłem możliwości fizyczne swoich współtowarzyszy. Było rzeczą absolutnie pewną, że z tłustego i cherlawego Farfurkisa żadnego pożytku nie będzie. Chlebowodow robił wrażenie silnego chłopca, ale nie wiedziałem, czy wydobrzał już po wczorajszej niedyspozycji żołądkowej. Co do Ławra Fiedotowicza należało wątpić, czy w ogóle wylezie z auta. W takim układzie przyjdzie mi działać tylko z komendantem, bowiem Edik nie będzie się ujawniał tylko po to, aby wyciągnąć z błota dziewięćsetkilogramowy samochód.

Moje pesymistyczne rozmyślenia zostały przerwane pojawieniem się przed nami gigantycznej czarnej kałuży. Nie była to patriarchalna, sielankowa kałuża w typie normalnych wiejskich kałuż, rozjeżdżonych i spokojnie przez wszystkich znoszonych. Nie była to też mętna, gliniasta, urbanistyczna kałuża, leniwie i złośliwie rozprzestrzeniająca się wśród niesprząniętych stert murarskich śmieci. Był to spokojny i zimnokrwisty, złowieszczy w swoim spokoju mroczny twór, wciśnięty niedbale między dwa rzędy cherlawych zarośli osiki, twór zagadkowy jak oko Sfinksa, zdradziecki jak caryca Tamara, przywodzący koszmarnie myśli o głębinach wypełnionych zatopionymi ciężarówkami.

– Koniec, przyjechaliśmy – powiedziałem, hamując ostro.

– Hrrrm – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Towarzyszu Zubo, przedstawcie sprawę.

W zapadającej ciszy słychać było, jak gramoli się komendant. Do bagna było jeszcze daleko, ale komendant też widział kałużę i nie znajdował innego wyjścia z sytuacji. Westchnął pokornie i zaszeleścił papierami.

– Sprawa numer trzydzieści osiem – odczytał. – Nazwisko: nie dotyczy. Imię: nie dotyczy. Imię ojca: nie dotyczy. Pseudonim: Krowia Topiel.

– Chwileczkę – przerwał mu nagle przestraszony Farfurkis. – Słuchajcie.

Podniósł palec i zastygł w bezruchu. Wsłuchaliśmy się i usłyszeliśmy. Gdzieś w oddali zaśpiewały triumfalnie srebrne trąby. Potężny dźwięk pulsował, narastał i jak gdyby przybliżał się. Krew zastygła nam w żyłach. To trąbiły komary, przy tym nie wszystkie, a tylko dowódcy kompanii, albo nawet dowódcy batalionów i wyżej. Ukradkowym wzrokiem zwierza, który wpadł w pułapkę, ujrzelśmy wokół siebie hektary porośniętego turzycą grząskiego bagna, pokrytego zleżałymi warstwami stęchłych liści, z ukrytymi w cieniu cherlawych osik ze sterczącymi gałęziami. Na tych hektarach siedziały oddziały chudych rudych ludożerców – złych, zgłodniałych, gotowych na wszystko.

– Ławrze Fiedotowiczu – wyszeptał Chlebowwodow. – Komary!

– Zgłaszam wniosek! – krzyknął zdenerwowany Farfurkis. – Trzeba odłożyć rozpatrzenie niniejszej sprawy do października... nie, do miesiąca grudnia!

– Hrrrm – rzekł ze zdziwieniem Ławr Fiedotowicz. – Społeczeństwo nie w pełni...

Nagle powietrze wokół nas napełniło się ruchem. Chlebowwodow zaskomlał i z całej siły rąbnął się w fizys. Farfurkis zrobił to samo. Ławr Fiedotowicz odwracał się powoli ze zdumioną twarzą, i w tej sekundzie zdarzyło się coś niebywałego. Ogromny rudy pirat spadł jak na paradzie na czoło Ławra Fiedotowicza i natychmiast, nawet nie celując, wbił mu swą szpadę po same uszy. Ławr Fiedotowicz zachwiał się. Był wstrząśnięty, nie mógł zrozumieć, nie wierzył. I wtedy się zaczęło.

Rzucając głową jak koń i wymachując łokciami, zacząłem uruchamiać samochód na wąskiej przestrzeni między zaroślami osiki. Po mojej prawej stronie ryczał z oburzeniem i wiercił się Ławr Fiedotowicz, z tylnego siedzenia dolatywała taka burza plaśnień, jakby cała rozwścieczona kompania ułanów i huzarów oddawała się czynnemu wzajemnemu znieważaniu. Nim udało mi się zawrócić, byłem już spuchnięty. Czułem, że uszy zmieniły mi się w gorące bliny, policzki w bochny chleba, a na czole wyrósł las rogów.

– Naprzód! – krzyczano na mnie ze wszystkich stron. – W tył! Gazu! Popędźcie go! Pod sąd was oddam, towarzyszu Priwałow!

Silnik ryczał, fontanny błota leciały na wszystkie strony, samochód skakał jak kangur, ale szybkość była minimalna, a z niezliczonych lądowisk wylatywały nam na spotkanie wciąż nowe eskadry, dywizjony, pułki. Przewaga powietrzna nieprzyjaciela była absolutna. Wszyscy prócz mnie z wściekłością zajmowali się przechodzącą w samounicestwienie samokrytyką. Nie mogłem oderwać się od kierownicy, nie mogłem nawet odkopywać się nogami, miałem wolną tylko jedną nogę i tłukłem nią dziko wszystko, czego mogłem dosięgnąć. W końcu wyrwaliśmy się z osiny z powrotem na brzeg jeziora. Nieco lepsza droga prowadziła pod górę. Silny wiatr uderzył mnie w twarz. Zatrzymałem samochód. Wstrzymałem oddech i zacząłem się drapać. Drapałem się w upojeniu. Nie mogłem przestać. Gdy już przestałem, skonstatowałem, że Trójka dogryza komendanta. Obwiniono go o przygotowanie i zrealizowanie aktu terrorystycznego, przedstawiono mu rachunki za każdą wypitą kroplę krwi i nieszczęsny komendant w pełni zapłacił ten rachunek. To, co zostało po nim, gdy odzyskałem możliwość patrzenia i myślenia, nie mogło już, w rzeczy samej, nazywać się komendantem jako takim. Dwie-trzy ogryzione kości, martwe spojrzenie i mamrotanie: „Ojczy nasz... Jezu Chryste... święć się imię Twoje...”

– Towarzyszu Zubo – rzekł w końcu Ławr Fiedotowicz. – Czemu przerwaliście odczytywanie ankiety? Kontynuujcie.

Komendant zaczął trzęsącymi się rękami zbierać rozrzucone po samochodzie kartki.

– Przeczytajcie od razu krótką charakterystykę niewyjaśnioności – rozkazał Ławr Fiedotowicz.

Komendant chlipnął po raz ostatni.

– Szerokie błoto, z wnętrza którego od czasu do czasu dobiegają ahania i uhania – odczytał łamiącym się głosem.

– No? – powiedział Chlebowwodow. – I co dalej?

– Nic dalej. Wszystko.

– Jak to wszystko? – zawył płaczliwie Chlebowwodow. – Zabili mnie! Zarznęli! I za co? Ahania... A po coś nas tu zaciągnął, terrorysto? Żeby ahania posłuchać? Za cośmy krew przelewali? Spójrz na mnie, jak ja się teraz w hotelu pokażę? Na całe życie autorytet mi poderwałś! Tak cię pogonię, że nie zostanie ani ahanie, ani uhanie!

– Hrrrm – powiedział Ławr Fiedotowicz i Chlebowwodow zamilkł.

– Zgłaszam wniosek – kontynuował Ławr Fiedotowicz. – Ze względu na wyjątkowe niebezpieczeństwo i szkodliwość dla narodu sprawy numer trzydzieści osiem pod nazwą Krowia Topiel, poddać niniejszą sprawę wyższemu wymiarowi racjonalizacji i zdecydować, co następuje: uznać niniejsze niewyjaśnione zjawisko za irracjonalne, transcendentne i, co z tego wynika, za realnie nieistniejące, i jako takie wymazać na zawsze z pamięci narodu, to znaczy z map geograficznych i topograficznych.

Chlebowwodow i Farfurkis zaczęli dziko klaskać w dłonie. Ławr Fiedotowicz wyciągnął spod siedzenia swą gigantyczną teczkę i położył ją sobie na kolanach.

– Dokument! – zawołał.

Na teczkę spadł dokument.

– Podpisy!

Na dokument spadły podpisy.

– Pieczęć!

Szczęknięty odrzwia sejfu, napłynęła fala kancelaryjnej stęchlizny i przed Ławrem Fiedotowiczem pojawiła się Wielka Okrągła Pieczęć. Ławr Fiedotowicz uniósł ją w obu rękach i opuścił z całej siły. Mroczny cień przeszedł przez niebo, samochód przysiadł lekko na resorach. Ławr Fiedotowicz schował teczkę pod siedzenie.

– Komendantowi Kolonii, towarzyszu Zubo – kontynuował przemówienie – za bezprawne istnienie w Kolonii irracjonalnego, transcendentnego, a co z tego wynika realnie nie istniejącego bagna „Krowia Topiel”, za niezabezpieczenie pełnego bezpieczeństwa pracy Trójki, a także za przejawione przy tym bohaterstwo wyrazić wdzięczność i udzielić wyróżnienia. Czy są jeszcze jakieś wnioski? – Następny – rzekł Ławr Fiedotowicz. – Co jeszcze mamy na dzisiaj, towarzyszu Zubo?

– Zaczarowane miejsce – powiedział podniesiony na duchu komendant. – Niedaleko stąd, około pięciu kilometrów.

– Komary? – poinformował się Ławr Fiedotowicz.

– Boże uchowaj... – odrzekł żarliwie komendant. – Niech Bóg broni... Tam ich nie ma. Może mrówki...

– Dobrze – powiedział Ławr Fiedotowicz. – Osy? Pszczoły? – ciągnął dalej, wykazując ogromną przezorność i stałą troskę o naród.

– Broń Boże – zapewnił komendant.

Ławr Fiedotowicz milczał.

– Wściekłe byki? – zapytał w końcu.

Komendant upewnił go, że o żadnych bykach na tych terenach nie może być nawet mowy.

– A wilki? – spytał podejrzliwie Chlebowwodow.

Ale na tych terenach nie było wilków ani też niedźwiedzi, o których wspomniał Farfurkis. Moi współtowarzysze robili sobie powtórkę z zoologii, a ja przeglądałem mapę, szukając najkrótszej drogi do zaczarowanego miejsca. Działanie wyższego wymiaru było już widoczne. Na mapie był i Tmuskorpion, i rzeka Skorpionka, i jezioro Zwierinoje. Były jakieś

tam Łopuchy, natomiast „Krowiej Topieli”, która wcześniej rozprzestrzeniła się między jeziorem a Łopuchami, już nie było. Zamiast niej była na mapie biała plama, taka jaką można było oglądać na starych mapach Antarktydy. Otrzymałem polecenie odjazdu i ruszyliśmy. Minęliśmy pole owsa, przebiliśmy się przez stado krów, ominęliśmy Okragły Zagajnik, sforsowaliśmy strumyk Studienyj i po pół godzinie znaleźliśmy się pod zaczarowanym miejscem.

Było to wzgórze z jednej strony porośnięte lasem. Kiedyś zapewne rósł tu wokół gęsty las, ciągnący się aż do samego Kitejgradu, ale został wyrąbany i było go tyle tylko, co na wzgórzu. Na samym szczycie widoczna była poczerwiała chałupa, na zboczu pod opieką wielkiego, ponurego psa spacerowały dwie krowy z cielakiem. Koło ganku grzebały w ziemi kury, na dachu stała koza.

– Czemuście stanęli? – zapytał mnie Farfurkis. – Trzeba podjechać, nie będziemy przecież piechotą...

– I mleko pewnie mają... – dodał Chlebowwodow. – Napiliśmy się teraz mleczka. Kiedy człowiek się grzybami podtruje, dobrze jest napić się mleczka. No, jedź, jedź, czego stoisz!

Komendant próbował wyjaśnić, że jest rzeczą niemożliwą podjechać bliżej do wzgórza, jego wyjaśnienia spotkały się jednak z lodowatym zdumieniem Ławra Fiedotowicza, który zaraził się myślą o uzdrawiających właściwościach parującego mleka, oraz z jękami Farfurkisa. „Śmietana! Z piwniczki!”, i nie próbował sporu. Prawdę mówiąc, sam go nie rozumiałem, ale mnie zaciekawił.

Włączyłem silnik i samochód potoczył się radośnie w stronę wzgórza. Licznik zaczął wystukiwać kilometry, opony szemrały na ostrej trawie, Ławr Fiedotowicz patrzył uważnie przed siebie, a tylne siedzenie w oczekiwaniu na picie mleka i śmietany wszczęło spór o to, co jedzą komary na bagnie. Chlebowwodow na podstawie własnego doświadczenia doszedł do wniosku, że komary żywią się nadzwyczaj ważnymi pracownikami odbywającymi inspekcje. Farfurkis mieszając rzeczywistość z marzeniami zapewniał, że komary zjadają się

nawzajem. Komendant z kolei krótko, ale zdecydowanie bełkotał coś o jakiejś bożej rosie i pieczonej szarańczy. W ten sposób jechaliśmy blisko dwadzieścia minut. Gdy licznik pokazał, że przejechaliśmy już piętnaście kilometrów, Chlebowwodow zorientował się, że coś jest nie w porządku.

– Co się dzieje? – powiedział. – Jedziemy, jedziemy, a wzgórze gdzie stało, tam stoi... Dodałbyś trochę gazu towarzyszu kierowco, co?

– Nie da się dojechać – rzekł krótko komendant. – Wzgórze jest przecież zaczarowane, nie dojechać nam do niego i nie dojść... Benzynę tylko darmo tracimy.

Wszyscy zamilkli. Licznik wystukał jeszcze siedem kilometrów, a wzgórze, jak poprzednio, nie zbliżyło się nawet o metr. Zaintrygowane szumem motoru krowy przez jakiś czas patrzyły w naszą stronę, potem zupełnie straciły zainteresowanie i znów zanurzyły mordy w trawie. Na tylnym siedzeniu wzrastało wzburzenie. Chlebowwodow i Farfurkis robili między sobą ciche uwagi, rzeczowe i złowieszcze. „Szkodnictwo” – twierdził Chlebowwodow. „Sabotaż” – dodał Farfurkis. – „Ale złośliwy”. Potem przeszli na szept i doszło do mnie tylko: „...Na podkładkach... no tak, koła się kręcą, a samochód stoi. Komendant?... A może i p.o. ...benzyna... nadwężenie ekonomiki...”, „potem spiszą z dużym przebiegiem, a on całkiem nowy...”. Nie zwracałem uwagi na te złowróżbne papugi, gdy nagle trzasnęły drzwi i straszonym, oddalającym się gwałtownie głosem wrzasnął Chlebowwodow. Z całej siły wcisnąłem hamulec. Ławr Fiedotowicz siłą inercji, nie zmieniając postawy, rąbnął w szybę z drewnianym stukiem. W oczach pociemniało mi od uderzenia, metalowe zęby Farfurkisa szczęknęły nad moim uchem. Samochód zarzucił. Gdy kurz opadł, zobaczyłem daleko z tyłu towarzysza Chlebowwodowa, który jeszcze toczył się w ślad za nami, wymachując kończynami.

– Coś nie tak? – zapytał Ławr Fiedotowicz normalnym głosem. Chyba nawet nie zauważył uderzenia. – Towarzyszu Chlebowwodow, usuńcie problem...

Usuwaliliśmy problem dość długo. Przyszło nam iść po Chlebowwodowa. Leżał około trzydziestu metrów za nami, obszarpany, z pękniętymi spodniami i bardzo zdziwiony. Okazało się, że posądził mnie i komendanta o spisek, że niby niezauważalnie postawiliśmy samochód na podkładkach i mając na widoku korzyści materialne wyrabiamy fałszywy kilometr. Poruszony poczuciem obowiązku postanowił wyjść z samochodu i wyprowadzić nas w pole, zaglądając pod samochód. Był wstrząśnięty faktem, że się nie powiodło. Wraz z komendantem przywlekliśmy go do samochodu i położyliśmy tak, aby osobiście przekonał się o swojej pomyłce, a sami udaliśmy się na pomoc Farfurkisowi, który nie mógł znaleźć swoich okularów i górnej szczęki. Farfurkis szukał w samochodzie, a komendant znalazł je daleko z przodu.

Nieporozumienie było w pełni wyjaśnione, protesty Chlebowwodowa okazały się dość powierzchowne, a Ławr Fiedotowicz uznał, że ciepłego mleka nie ma, nie będzie i nie może być. Zgłosił wniosek, żeby nie tracić przynależnej narodowi benzyny i przystąpić do wypełniania swoich obowiązków.

– Towarzyszu Zubo – powiedział. – Przedstawcie sprawę.

Sprawa numer dwadzieścia dziewięć, jak można było przypuszczać, nazwiska, imienia i imienia ojca, nie posiadała. Posiadała tylko umowne przezwisko „Zaczarowaniec”. Data urodzenia gubiła się w mrokach stuleci, miejsce urodzenia określone było współrzędnymi geograficznymi z dokładnością do jednej minuty. Narodowość Zaczarowaniec posiadał rosyjską, wykształcenia nie posiadał, obcych języków nie znał, zawód miał – wzgórze, a miejsce pracy w chwili obecnej określone było wyżej wspomnianymi współrzędnymi. Jeśli zaś chodzi o krótką charakterystykę niewyjaśnioności, to Wybiegałło, nie mędrkując, określił ją chytrze i maksymalnie krótko: „Po pierwsze, nie przejechać, po drugie, nie przejść”.

Komendant promieniał. Sprawa bez wątplenia szła ku racjonalizacji. Chlebowwodow był z ankiety zadowolony.

Farfurkis zachwycał się tak oczywistą, niczym nie zagrażającą narodowi niewyjaśnionością. Ławr Fiedotowicz także się nie sprzeciwiał. Na wszelki wypadek poinformował nas popufnie, że wzgórze są potrzebne narodowi tak samo jak równiny, wąwozy, parowy, elbrusy i kazbeki.

W tym momencie drzwi chatki otworzyły się i na ganek wyszedł wsparty na lasce stary człowiek w walonkach i długiej po kolana podpasanej koszuli. Podreptał chwilę przy progu, spojrzął spod dłoni na słońce, machnął kijem na kozę, żeby zlazła z dachu i usiadł na przyzbie.

– Świadek! – powiedział Farfurkis. – A może by wezwać świadka?

– Jak to – świadek... – odrzekł komendant zgębionym głosem. – Co nie jest jasne? Jeśli są pytania, to ja mogę...

– Nie! – powiedział Farfurkis, patrząc podejrzliwie na komendanta. – Nie, co wy? Gdzie wy mieszkacie, a gdzie on – miejscowy?

– Wezwać, wezwać! – krzyknął Chlebowwodow. – Niech przyniesie mleka.

– Hrrrm – powiedział Ławr Fiedotowicz. – Towarzyszu Zubo, wezwijcie świadka sprawy numer dwadzieścia dziewięć.

– Ech! – krzyknął komendant, cisnąwszy na ziemię słomiany kapelusz. – Wszystko runęło. – Gdyby mógł przyjść, to czy by tam siedział? On jest tam, że tak powiem, w areszcie! Nie uda mu się stamtąd wyjść! Tak jak tam ugrzązł, tak i został...

I zuchwale, pod ciągłymi podejrzliwymi spojrzeniami Trójki, przeczuwając nowe nieprzyjemności i niezmiernie z tego powodu gadatliwy, opowiedział kitiesgradzkie podanie o leśniku Teofilu. Jak sobie bez smutków mieszkał wraz z żoną w leśniczówce jeszcze całkiem młody i zdrowy, jak uderzył kiedyś we wzgórze zielony piorun i zaczęły się dziać straszne rzeczy. Żona Teofila wybrała się właśnie do miasta, a gdy wróciła – nie może wejść na wzgórze, do domu się dostać. Teofil też rwał się do niej. Dwie doby bez odpoczynku biegł – nie

dobiegł. Więc został. On tu, a żona tam... Potem, rzecz jasna, uspokoił się. Jakoś trzeba żyć. I tak do dziś dnia żyje. Nie szkodzi, przywykł...

Po wysłuchaniu tej straszliwej historii Chlebowwodow dokonał nagle odkrycia: Teofil wymknął się ze spisu, nie podlega działalności wychowawczej i zupełnie możliwe, że do dziś jest kułakiem-wyzyskiwaczem.

– Dwie krowy ma – mówił Chlebowwodow – i cielaka. Koza. A podatków nie płaci... – Nagle oczy mu się rozszerzyły. – Tak, jeśli jest cielak, to i byka gdzieś ukrył!

– Ma byka, to jasne – potwierdził ze smutkiem komendant. – Pewnie się pasie pod drugiej stronie...

– No, bracie, ładne u ciebie porządki – stwierdził złowieszczo Chlebowwodow. – Wiedziałem to, czułem, żeś polewacz i że ci łapę smarują, ale tego się po tobie nie spodziewałem. Żebyś był poplecznikiem kułackim, żebyś kułaka osłaniał, wyzyskiwacza...

Komendant nabrał powietrza w płuca i zajęczał: „Najjaśniejszą Panienką... Dwunastoma apostołami...”

– Uwaga! – wyszeptał niewidoczny Edik.

Leśnik Teofil uniósł nagle głowę i osłaniając oczy przed słońcem spojrzął w naszą stronę. Następnie podniósł się, odrzucił kij i ślizgając się na wysokiej trawie, zaczął powoli schodzić ze wzgórza. Brudna biała koza postępowała za nim jak pies. Teofil podszedł do nas, podparł w zamyśleniu kościstą brązową dłońią głowę, a koza usiadła obok niego i wpatrzyła się w nas żółtymi, diabelskimi oczami.

– Ludzie jak ludzie – powiedział Teofil. – Zdziwiająca...

Koza powiodła po nas oczami i zatrzymała wzrok na Chlebowwodowie.

– Oto Chlebowwodow – powiedziała. – Rudolf Archipowicz. Urodził się w dziewięćset siódmym w Chochłomie, imię rodzice zaczerpnęli z wielkopańskiej powieści, z wykształcenia jest uczniem siódmej klasy, wstydi się pochodzenia rodziców, obcych języków uczył się wiele, ale nie zna żadnego...

– *Yes* – potwierdził Chlebowwodow i zachichotał wstydliwie. – *Naturellement*.

– ...zawodu jako takiego nie posiada. W chwili obecnej jest przywódcą – działaczem społecznym. Był za granicą: we Włoszech, we Francji, w obu Niemczech, na Węgrzech, w Anglii... i tak dalej, razem w czterdziestu dwóch krajach. Wszędzie chwalił się i strzepił język. Wyróżniająca cecha charakteru – duża społeczna żywotność i zdolność dostosowywania się, cechy oparte na pryncypialnej głupocie i na niezmiennym dążeniu, aby być bardziej ortodoksyjnym niż najwięksi ortodoksi.

– Tak – powiedział Teofil. – Macie coś do dodania, Rudolfie Archipowiczu?

– Absolutnie nic! – stwierdził radośnie Chlebowwodow. – Może tylko to: orto...orto orto – ksalny... niezupełnie jasne!

– Być bardziej ortodoksyjnym niż... i tak dalej, oznacza, dla przykładu, taką sytuację – zaczęła wyjaśniać koza. – Jeśli zwierzchnicy są niezadowoleni z jakiegoś naukowca, wy ogłaszacie się wrogiem nauki w ogóle. Jeśli zwierzchnicy są niezadowoleni z jakiegoś cudzoziemca, gotowi jesteście wypowiedzieć wojnę wszystkim, którzy są za granicą. Jasne?

– Tak jest – powiedział Chlebowwodow. – Nie można inaczej. Wykształcenie mam tragicznie niskie. Inaczej tylko pa-trzeć, a poleci się.

– Kradł? – spytał niedelikatnie Teofil.

– Nie – odrzekła koza. – Podbierał co z wozu spadło.

– Zabijał?

– Ależ co wy! – zaśmiała się koza. – Osobiście nigdy.

– Opowiedzcie coś – poprosił Chlebowwodowa Teofil.

– Błędy były – odparł szybko Chlebowwodow. – Człowiek nie anioł. I koń się potknie. Koń ma cztery nogi i się potyka. Kto nie błądzi, ten nie je... to jest, nie pracuje...

– Rozumiem, rozumiem – powiedział Teofil. – Będziecie dalej błądzić?

– Ni-nigdy! – odrzekł twardo Chlebowwodow.

– Dziękuję – powiedział Teofil i spojrzał na Farfurkisa.

– A ten sympatyczny mężczyzna?

– To Farfurkis – powiedziała koza. – Nikt nigdy nie używa jego imienia... Urodził się w tysiąc dziewięćset szesnastym w Taganrogu, wykształcenie wyższe prawnicze, czyta po angielsku ze słownikiem. Z zawodu – prelegent. Posiada tytuł kandydata nauk historycznych. Nie był za granicą i nie wybiera się. Zasadnicza cecha jego charakteru – ostrożność i ugrzecznienie, niekiedy łączące się z ryzykiem sprowadzenia na siebie niezadowolonia zwierzchności, zawsze jednak obliczone na ostateczną wdzięczność przełożonych...

– To niezupełnie tak – zaprotestował delikatnie Farfurkis. – W pewnym stopniu macie rację. Ostrożność i ugrzecznienie są to cechy mojego charakteru zupełnie niezależne od zwierzchności, jestem taki z natury, miałem to już w chromosomach. Co się tyczy zwierzchności, to moim obowiązkiem jest wskazywać zwierzchnikom ramy prawne i ich kompetencje.

– Jak u niego z krzywoprzysięstwem? – spytał Teofil.

– Nie, to mu się nie zdarza – odrzekła koza. – Zawsze święcie wierzy w to, co mówi.

– A w samej rzeczy, cóż to takiego kłamstwo? – powiedział Farfurkis. – Kłamstwo to zaprzeczenie lub wypaczenie faktów. Ale co to jest fakt? Czy można w warunkach niewiarogodnie złożonej rzeczywistości mówić o fakcie? Fakt to zjawisko lub działanie zaświadczone przez naocznych świadków. Jednakże świadkowie mogą być nieobiektywni, przekupni lub po prostu kłamać. Fakt to działanie lub zjawisko zaświadczone przez dokumenty. Ale dokumenty mogą być sfalszowane lub podrobione. A wreszcie, fakt to działanie lub zjawisko ustalone we mnie. Jednakże moje uczucia mogą być stepione albo w ogóle wypaczone przez zaistniałe okoliczności. W ten sposób okazuje się, że fakt jako taki jest czymś efemerycznym, ulotnym, niepewnym i w związku z tym istnieje konieczność wykluczenia takiego pojęcia. Ale w takim wypadku pojęcia „kłamstwo” i „prawda” automatycznie stają się aksjomatami

i nie podlegają określeniu przez jakiegokolwiek ogólne kategorie... Istnieje Wielka Prawda i jej zaprzeczenie – Wielkie Kłamstwo. Wielka Prawda to potęga i jej istota jest tak oczywista dla każdego normalnego człowieka, jakim i ja jestem, że obalenie jej lub wypaczanie, to znaczy uprawianie kłamstwa, staje się rzeczą bezsensowną. Oto dlaczego nigdy nie kłamię i, siłą rzeczy, nigdy nie krzywoprzysięgam...

– Zręcznie – powiedział Teofil. – Bardzo zręcznie. Rzecz jasna, po Farfurkisie zostanie jego filozofia faktu!

– Nie – odrzekła z uśmiechem koza. – To znaczy filozofia zostanie, ale Farfurkis nie ma z tym nic wspólnego. Nie on to wymyślił. On w ogóle niczego nie wymyślił, prócz swojej dysertacji, tak więc zostanie po nim tylko dysertacja jako przykład prac tego gatunku.

Teofil zamyślił się.

– Czy dobrze zrozumiałem? – powiedział do Teofila Farfurkis. – Wszystko skończone i możemy kontynuować nasze zajęcia?

– Jeszcze nie – odrzekł Teofil, otrząsnąwszy się z zadumy. – Chciałbym zadać jeszcze kilka pytań temu obywatelowi...

– Co? – wykrzyknął wstrząśnięty Farfurkis. – Ławrowi Fiedotowiczowi?

– Społeczeństwo... – przemówił Ławr Fiedotowicz, patrząc gdzieś w bok.

– Pytania do Ławra Fiedotowicza? – mamrotał oszołomiony Farfurkis.

– Tak – potwierdziła koza – do Winiukowa Ławra Fiedotowicza, rok urodzenia...

– Wszystko – wyszeptał Edik. – Energii nie starcza. Ten Ławr jest jak beczka bez dna...

– Cóż to znowu? – rozpaczliwie zakrzyknął Farfurkis. – Towarzysze! Do czegośmy doszli? No, co znowu? Toż to nieprzyzwoitość...

– Słusznie – powiedział Chlebowwodow. – To nie nasza sprawa. Niech się milicja tym zajmie.

– Hrrrm – stwierdził Ławr Fiedotowicz. – Czy są inne wnioski? Pytania do referenta? Wyrażając zdanie ogółu, proponuję sprawę numer dwadzieścia dziewięć zracjonalizować jako niewyjaśnione zjawisko, posiadające wartość dla Ministerstwa Przemysłu Spożywczego i Ministerstwa Finansów. W celu wstępnej utylizacji proponuję sprawę numer dwadzieścia dziewięć, pod nazwą „Zaczarowaniec”, oddać w ręce prokuratury okręgu tmuskorpiońskiego.

Spojrzałem na wierzchołek wzgórza. Leśnik Teofil stał na ganku, wsparty ciężko na sękatym kiju i spod dłoni oglądał okolicę. Koza spacerowała po podwórzu. Pomachałem na pożegnanie beretem. Wraz z ciężkim stukiem Wielkiej Okrągłej Pieczęci doszło do moich uszu gorzkie westchnienie Edika.

Epilog

Następnego ranka, tuż po przebudzeniu, poczułem, że wszystko wokół jest ponure i beznadziejne. Edik siedział za stołem w samych slipach, podparłszy rękami rozczochraną głowę, a przed nim pobłyskiwały na kartce papieru detale rozmontowanego do ostatniej śrubki remoralizatora. Na pierwszy rzut oka było widać, że Edik także czuje ohydę i beznadziejność sytuacji.

Odrzuciwszy pościel, spuściłem nogi na podłogę, wyjąłem z kieszeni kurtki papierosa i zapaliłem. W innej sytuacji taki występki przeciwko zdrowiu wywołałby natychmiastową i jednoznaczną reakcję Edika, nienawidzącego rozlazłości i zadymionego powietrza. W innej sytuacji sam bym się nie odważył palić na czczo przy Ediku. Ale dziś było nam wszystko jedno. Byliśmy zupełnie skopani, wisieliśmy nad przepaścią.

Po pierwsze, byliśmy niewyspani. To raz, jakby powiedział Modest Matwiejewicz. Do trzeciej w nocy wierciliśmy się w pościeli, reasumując gorzkie przeżycia, otwieraliśmy okna, zamykaliśmy okna, piliśmy wodę, a ja nawet gryzłem poduszkę.

Mało tego, że okazaliśmy się bezsilni wobec tych hydrauliczków. W końcu nikt nas nie uczył, jak się z nimi obchodzić. Byliśmy jeszcze prawdopodobnie nie dosyć doświadczeni.

Mało tego, że wszystkie nasze nadzieje na zdobycie choćby naszej Czarnej Skrzynki i Gadacza rozwiały się po wczorajszej historycznej rozmowie przy podjeździe hotelu. Było nie było, przeciwnik dysponował tak potężną bronią jak Wielka Okrągła Pieczęć, a my nie mieliśmy czego jej przeciwstawić.

Chodziło jednak teraz o całą naszą przyszłość.

Historyczna rozmowa przy podjeździe odbyła się mniej więcej w ten sposób. Ledwie doprowadziłem zakurzony samochód pod hotel, gdy przy wejściu pojawił się Edik z niespotykane surową twarzą.

Edik: Wybaczcie Ławrze Fiedotowiczu. Czy możecie poświęcić mi kilka minut?

Ławr Fiedotowicz: (sapie, oblizuje ręce z bąblami po komarach, czeka na otwarcie drzwi samochodu).

Chlebowwodow (zaczepnie): Przyjęcia skończone.

Edik (ściągając brwi): Chciałbym się dowiedzieć, kiedy będą spełnione nasze prośby.

Ławr Fiedotowicz (do Farfurkisa): Piwo, to od słowa „pić”.

Chlebowwodow (żarliwie): Tak jest! Społeczeństwo lubi piwo.

Wszyscy: (gramolą się z samochodu).

Komendant (do Edika): Ależ nie irytujcie się, w przyszłym roku rozpatrzemy wasze podanka...

Edik (nagle rozwścieczony): Żądam zerwania z biurokrytymem! (staje w drzwiach, tarasując przejście).

Ławr Fiedotowicz: Hrrrm... Kłopoty jakieś? Towarzyszu Chlebowwodow, usuńcie.

Edik (zagalopowawszy się): Żądam natychmiastowego załatwienia naszych podań!

Ja (ponuro): Daj spokój, toż to beznadzieja...

Komendant (z przestrachem): Zaklinam na rany boskie... na Bogurodzicę Tmuskorpiońską...

Nieprzyzwoita scena. Chlebowwodow staje naprzeciw Edika i mierzy go spojrzeniem od stóp do głów. Edik pospiesznie wyrzuca nadwyżki wściekłości w formie maleńkich, kulistych piorunów. Wokół gromadzą się gapie. Okrzyk z otwartego okna: „Dolej mu! Co się gapisz! W czapę go!” Farfurkis szepcze coś pospiesznie Ławrowi Fiedotowiczowi.

Ławr Fiedotowicz: Hrrrm... jest pogląd, że należy awansować naszą utalentowaną młodzież. Proponuje się: stanowisko kierowcy przy Trójce powierzyć towarzyszu Priwałowi, a towarzysza Amperiana wyznaczyć na stanowisko czasowo pełniącego obowiązki chorego towarzysza Wybiegały, z wyliczeniem różnicy przy wypłacie pensji. Towarzyszu Farfurkis, przygotujcie projekt zarządzenia. Kopię – w dół (idzie na Edika).

Wrodzona grzeczność Edika bierze górę nad wszystkim innym. Edik ustępuje z drogi, a nawet otwiera drzwi przed starym człowiekiem. Oszołomiony, słabo widzę i słabo słyszę.

Komendant (radośnie ściskając mi dłoń): Z okazji awansu najserdeczniejsze, towarzyszu Priwałow! Ot i wszystko się powiodło...

Ławr Fiedotowicz (zatrzymawszy się w drzwiach): Towarzyszu Zubo!

Komendant: Słucham!

Ławr Fiedotowicz (żartuje): Mielicie na dziś wyznaczoną łaźnię, więc idźcie do łaźni!

Przeraźliwy chichot oddalającej się Trójki. Kurtyna.

Przypomniałem sobie tę scenę, przypomniałem też sobie, że począwszy od dziś sążone mi długo być kierownicą przy Trójce i zgniotłem niedopałek.

– Trzeba spływać – wychrypiałem.

– Nie można – powiedział Edik. – Hańba.

– A zostać nie hańba?

– Hańba – potwierdził Edik. – Ale jesteśmy wywiadownicami. Jak na razie nikt nas nie zwalniał z naszych obowiązków. Trzeba wycierpieć to, co nie do wycierpienia. Trzeba, Sasza! Trzeba się umyć, ubrać i iść na posiedzenie.

Zajęczałem, ale nie mogłem nic odrzec.

Umyliśmy się i zjedliśmy śniadanie. Wyszliśmy na miasto, gdzie wszyscy zajęci byli pożytecznymi, niezbędnymi sprawami. Milczeliśmy ponuro. Byliśmy żałośni.

Przy wejściu do Kolonii napadł na mnie zza rogu staruszek Edelwejs. Edik wyciągnął rubla, ale nie wywarło to normalnej reakcji. Materialne dobra staruszka nie interesowały, żądał dóbr duchowych. Żądał, abym włączył się w charakterze kierownika robót do udoskonalania jego heurystycznego agregatu i na początek ułożył rozszerzony plan, obliczony na okres jego studiów aspiranckich.

Po pięciu minutach rozmowy jasność przed moimi oczami ostatecznie zmieniła się w mrok, gorzkie słowa były gotowe wyrwać mi się z ust i straszliwe zamiary były bliskie urzeczywistnienia. W rozpaczy zacząłem bredzić o jakiejś samouczącej się maszynie. Staruszek słuchał mnie z rozdziawionymi ustami, pochłaniał każdy dźwięk, i jak się zdaje, zapamiętywał te bzdury dosłownie. Nagle doznałem olśnienia. Jak doświadczony prowokator zapytałem, czy agregat Maszkinia jest dostatecznie skomplikowaną maszyną. Staruszek natychmiast zapewnił mnie żarliwie, że agregat jest niesłychanie skomplikowany, że czasem nawet on, Edelwejs, nie rozumie, co tam jest co. – Cudownie – powiedziałem. – Wiadomo, że każda dostatecznie skomplikowana maszyna posiada zdolność do samouczenia i samosterowania. Samosterowanie jest nam na razie zbyt trudne, powinniśmy natomiast w jak najkrótszym czasie nauczyć agregat Maszkinia drukowania tekstu bez udziału człowieka-pośrednika. Jak tego dokonać? Zastosujemy powszechnie znaną i wielokrotnie stosowaną metodę długiego treningu („metoda Monte-Carlo” – wtrącił lekko ożywiony Edik). Tak, Monte-Carlo. Przewaga tej metody zawiera się w prostocie. Bierze się dostatecznie obszerny tekst, powiedzmy „Życie zwierząt” Brehma. Maszkinia zasiada za swoim agregatem i zaczyna drukować słowo za słowem, linijka za linijką, stronicę za stronicą. Jednocześnie analizator będzie analizował...

(„Rozumowiec będzie rozumował” – dorzucił Edik). Tak – właśnie, rozumował... I w ten sposób agregat znacznie się od nas uczyć. Nawet nie zdążycie mrugnąć, jak zaczniesz sam drukować. Proszę, oto rubel na zwrot kosztów i idźcie do biblioteki po Brehma...

Edelwejs pognął do biblioteki, a my, podbudowani nieco tym małym zwycięstwem nad miejscowymi kataklizmami, pierwszym zwycięstwem na siedemdziesiątym szóstym piętrze, ruszyliśmy dalej w drogę. Byliśmy zadowoleni, że Edelwejsa mamy na zawsze z głowy, że natrętny staruszek nie będzie się nam więcej kręcił pod nogami i męczył swoją głupotą, tylko będzie siedział grzecznie za „Remingtonem”, walił w klawisze i wywaliwszy język, przerysowywał łaćńskie litery. Będzie długo wystukiwał i przerysowywał, a kiedy skończymy z Brehmem, weźmiemy dla rozpędu trzydzieści tomów Charlesa Darwina, a później, jak Bóg pozwoli, odwalimy dziewięćdziesięciotomowy zbiór dzieł Lwa Nikołajewicza Tołstoja wraz z listami, artykułami, notatkami i komentarzami...

Gdy weszliśmy na salę posiedzeń, komendant coś głośno czytał, a hydraulicy wraz z Wybiegałą słuchali i kiwali głowami. Siedliśmy po cichutku na swoich miejscach, wzięliśmy się w garść i także zaczęliśmy słuchać. Przez jakiś czas niczego nie rozumieliśmy, bo i nie staraliśmy się rozumieć, ale dość szybko okazało się, że Trójka zajęta jest dziś rozpatrywaniem skarg, zażaleń, podań i informacji od społeczeństwa. Wcześniej Fiedia opowiadał nam, że takie imprezy odbywają się co tydzień.

Przyszło nam wysłuchać kilku listów.

Uczniowie ze wsi Winiuszyno napisali donos na miejscową babkę Zoję. Twierdzą, że jest czarownicą i przez nią są złe urodzaje, a swojego wnuka Wasyla Kormilicyna, dawnego prymusa, za to, że wyrzucił na śmietnik jej nogę, przemieniła w chuligana i dwójkowicza. Uczniowie prosili o zrobienie porządku z tą wiedźmą, w którą oni jako pionierzy nie wierzą, i żeby uczeni wyjaśnili, w jaki sposób psuje ona urodzaje i jak przekształca prymusów w dwójkowiczów i czy nie można by przemienić

w niej plusów na minusy, żeby przekształcała dwójkowiczów w prymusów.

Grupa turystów zaobserwowała za Łopuchami zielonego skorpiona wielkości krowy. Skorpion uspił dyżurnych tajemniczym promieniowaniem i ukrył się w lasach wraz z miesięcznym zapasem artykułów żywnościowych. Turyści, o ile zostaną im zwrócone koszty podróży, polecają swoje usługi w pojmaniu straszdyła.

Mieszkaniec miasta Tmuskorpion, Zajadły P.P., skarżył się na sąsiada, drugi rok wykradającego mu przy pomocy specjalnej aparatury mleko. Należało znaleźć na to radę.

Inny mieszkaniec Tmuskorpionu, obywatel Krasnodiewko S.T., wyrażał niezadowolenie z powodu tego, że park miejski zatruty jest różnymi straszdyłami i nie ma już gdzie spacerować. O wszystko obwiniony był komendant Zubo, wykorzystujący odpadki z kuchni Kolonii dla wykarmienia własnych trzech świń i bezrobotnego zięcia pasożyta.

Wiejski lekarz ze wsi Bubnowo donosił, że podczas operacji, w jamie brzusznej liczącego sto piętnaście lat obywatela Pancermanowa znalazł w wyrostku ślepej kiszki starożytna monetę. Lekarz zwracał społeczeństwu uwagę na fakt, że nieboszczyk Pancermanow nigdy nie był w Średniej Azji i znalezionej monety nigdy nie widział. Na pozostałych czterdziestu dwóch stronicach listu wysoce wyedukowany eskułap referował swoje hipotezy na temat telepatii, telekinezy i czwartego wymiaru. Do listu dołączone były rysunki, tablice i fotografie awersu oraz rewersu tajemniczej monety w naturalnej wielkości.

Impreza przebiegła spokojnie, wygłaszano wnikliwe uwagi. Po przeczytaniu każdego listu następowała długa pauza, wypełniona pełnymi głębokich myśli wykrzyknikami. Ławr Fiedotowicz zapalał papierosa, zwracał spojrzenie na Wybiegałę i informował się, jaki projekt odpowiedzi proponuje Trójce konsultant naukowy. Wybiegałło uśmiechał się szeroko czerwonymi ustami, gładził oburącz brodę i prosząc o pozwolenie niewstawania ogłaszał żądany projekt. Nie rozpieszczał

korespondentów urozmaiceń. Jego odpowiedzi miały standardową formę. „Szanowny (-a, -ni) ob...! Otrzymaliśmy i przeczytaliśmy wasz interesujący list. Zakomunikowane przez was fakty są dobrze znane nauce i wartości dla niej nie posiadają. Tym niemniej gorąco dziękujemy za wasze obserwacje i życzymy sukcesów w pracy i życiu osobistym”. Podpis. I koniec. Sądzę, że było to najlepsze z odkryć Wybiegały. Trudno było nie odczuwać ogromnego zadowolenia, posyłając taki list w odpowiedzi na informację o tym, że „ob. Kapustin wywiercił w mojej ścianie otwór i puszcza przez niego trujące gazy”.

Ale maszyna pracowała z przygnębiającą monotonią.

Jednostajnie i nosowo międlął coś komendant, ciężko porykiwał Ławr Fiedotowicz, głośno mlaskał Wybiegało. Ogarnęła mnie śmiertelna apatia. Zdawałem sobie sprawę, że to rozkład, a ja pogrążam się w grząskie bagno psychicznej atrofii, ale nie chciało mi się dłużej walczyć. „I tak ludzie żyją” – rozmyślałem. – „Wszystko co rozumne, jest rzeczywiste, cała rzeczywistość jest rozumna. A jeśli rozumne, to i dobre. A jeśli jest dobre, to prawie na pewniaka wieczne... Jaka jest w końcu różnica między Ławrem Fiedotowiczem a Fiodorem Simeonowiczem? Obaj są nieśmiertelni, obaj wszechmocni. I o co się bić? Nie rozumiem... Czego faktycznie potrzeba człowiekowi? Zagadkowych jakichś tajemnic? Nie potrzebuje. Wiedzy? Po co wiedza przy takim planie tajemnic dziennych zajęć? Ławr Fiedotowicz ma nawet pewne plusy. Sam nie myśli i innym nie każe. Nie pozwala, by współpracownicy byli przepracowani – dobry człowiek, troskliwy... I karierę warto przy nim zrobić, Farfurkisa odsunąć, Chlebowwodowa... Co oni faktycznie są warci... Idioci przecież, tylko autorytet zwierzchności podrywają. A autorytet trzeba podnosić. Jeśli Bozia nie dała zwierzchnikom rozumu, trzeba chociaż autorytet zapewnić. Ty jemu autorytet, a on tobie całą resztę. Pożytecznym się trzeba stać przede wszystkim, potrzebnym... prawą ręką albo w ostateczności i lewą...”

Zginałbym niechybnie zatruty straszliwymi emanacjami Wielkiej Okrągłej Pieczęci i bandy hydraulików, w najlepszym wypadku zakończyłbym życie jako eksponat w wiwarium w naszym Instytucie. Edik także by zginał. Jeszcze się miotał, jeszcze przybierał różne pozy, ale były to tylko pozory i w rzeczy samej, jak mi się później przyznał, marzył w tym czasie o odśnięciu Wybiegałły i otrzymaniu działki na przedmieściu pod... Tak, zginęlibyśmy. Zdeptano by nas, wykorzystując naszą rozpacz i upadek ducha. Ale w jednym z tych straszliwych momentów niemy grom wstrząsnął całym wszechświatem wokół nas. Zbudziliśmy się. Drzwi były otwarte. Na progu stał Fiodor Simeonowicz i Christobał Hozewicz.

Obaj byli w nieopisanym gniewie. Byli straszni. Tam, gdzie padało ich spojrzenie, dymiły ściany i topiły się szyby. Zapalił się i runął transparent o narodzie i sensacji. Dom drżał i wibrował, podłoga stanęła dęba, a krzesła przysiadły na osłabłych ze strachu nóżkach. Było niemożliwością znieść to wszystko i Trójka tego nie zniosła.

Chlebowwodow i Farfurkis wskazali na siebie wzajemnie drżącymi palcami i chórem wrzasnęli: „To nie ja! To wszystko oni!”, przemienili się w żółtą parę i rozplynęli bez śladu.

Profesor Wybiegałło wybełkotał „Mą dieł”, dał nura pod stolik i wyjąwszy stamtąd pojemną teczkę, wysunął ją w kierunku gromowładców.

– Tego... wszystkie materiały – mamrotał – znaczy się, o tych szubrawcach mam tu zebrane, oto one, materiały-tego!

Komendant z godnością rozerwał na sobie kołnierz i padł na kolana.

Ławr Fiedotowicz, wyczuwając pewną niezręczność sytuacji, wykręcił szyję nerwowo i wstał, opierając się dłońmi o zielone sukno.

Fiodor Simeonowicz podszedł do nas, objął i przycisnął do swojej szerokiej piersi.

– No-no – powiedział basem, gdy przypadliśmy do niego stuknąwszy się głowami. – No-no, już n-nic, z-zuchy... Trzrzy dni mi-mo wszystko w-wytrzymaliście... N-nieźle...

Poprzez łzy zalewające mi oczy zobaczyłem, jak Christobal Hozewicz, bawiąc się trzciniową pałeczką, zbliżył się do Ławra Fiedotowicza.

– Paszoł won! – rozkazał mu przez zęby.

– Społeczeństwo... – stwierdził Ławr Fiedotowicz ze zdziwioną miną.

– Won! – ryknął Junta.

Przez sekundę patrzyli sobie w oczy. Na twarzy Ławra Fiedotowicza drgnęło coś ludzkiego – jakby wstyd, jakby strach, jakby złość. Powoli schował do teczki wszystkie akcesoria przewodniczącego.

– Jest wniosek: z powodu wyjątkowych okoliczności przerwąć posiedzenie Trójki na czas nieokreślony – powiedział.

– Na zawsze – stwierdził Christobal Hozewicz, kładąc trzcinię w poprzek stołu.

– Hrrrm... – z powątpiewaniem odrzekł Ławr Fiedotowicz.

Majestatycznie obszedł stół, na nikogo nie patrząc, zaczął kroczyć w kierunku wyjścia.

– Wyrażam pogląd, że się jeszcze spotkamy. – W innym czasie i w innym miejscu – stwierdził nim opuścił salę.

– Czyżby? – odpowiedział pogardliwie Junta, odgryzając koniuszek cygara.

Jednak rzeczywiście, spotkaliśmy ponownie Ławra Fiedotowicza w innym czasie i w zupełnie innym miejscu.

Ale to już zupełnie inna historia.